

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 9 lutego 1947 r.

Nr 6 (63)

TREŚĆ NUMERU: Z. G.K. Chesterion — Wariat, K. Łubieński — Znowu o radykalizmie, St. Rembek — Wyrok na Franciszka Kłosa D. Dobraczyńska — O nowy typ szkoły tańca, K. Jaźwiecki — Praktyka terażniejszości, J. Piotrowska — Dzieci żebrzące w czasie, okupacji, J. Kawecki — Z teatrów, Edm. Sz. — U grobu Krzywoustego.

Kazimierz Koźniewski

Konkluzje przedsejmowe

Dnia 19 stycznia w wyborach powszechnych zostało wybranych do Sejmu Ustawodawczego trzech posłów, reprezentujących grupę tak zwanych niezależnych katolików. Kalendarz wypadków politycznych oraz fakt, iż grupa — raczej grupy — niezależnych katolików nie zdążyła ukonstytuować się w stosowne stronnictwo — sprawiły, że dzięki listy wyborcze wystawione zostały tylko w pięciu okręgach, że nie uruchomiono żadnego aparatu propagandowego — a to wszystko w konsekwencji stało się przyczyną, iż minimalna liczba wybranych posłów nie pozostaje w żadnej proporcji do rzeczywistej siły tej koncepcji politycznej wśród społeczeństwa polskiego. Ciężko jest rozpocząć realizację koncepcji politycznych, mając tak słabą reprezentację parlamentarną — nie mniej uważamy, iż wysiłek ten podjęty być musi. Przekonanie to czerpiemy z poniższej analizy politycznej, która równocześnie jest bazą wyjściową dla działalności tej minimalnej reprezentacji w rozpoczynającym się Sejmie.

Podstawą analizy politycznej darowanej przez nas, są następujące — wydaje się nam bezsporne — stwierdzenia:

1) Wojnę przegrały Niemcy, a wygrali Narody Zjednoczone. W istocie jednak — wskutek szczególnych wymogów materialnych i technicznych wojny ostatniej — na czoło państw zwycięskich wysunęły się faktycznie trzy mocarstwa. Polska w sposób najbardziej naturalny — jako leżąca między Rosją a Niemcami — stanęła przed problemem ułożenia stosunków z silniejszym i potężniejszym sąsiadem. W tym stanie rzeczy stosunki między nami a Rosją mogą być albo wrogie, albo przyjazne. Ponieważ doświadczenia tak historii, jak czasów obecnych wskazują wyraźnie, iż nikt za nas stosunków tych regulować nie będzie — dlatego też tylko od nas zależy, czy jako naród słabszy potrafimy w tej współpracy politycznej wyciągać korzyści ze stosunków przyjaznych, czy też będziemy płacić kosztowne rachunki wrogości?

2) Historia własnego narodu nakłada na każde pokolenie obowiązek korzystania z nadarzających się okazji politycznych dla realizowania najmniejszym kosztem (a więc z ogólnym prądem polityki światowej, a nie przeciw niemu!) korzyści dla własnego narodu. Nadarżającą się okazją dla naszego okresu — jest zrealizowanie osłabienia Niemiec przez odzyskanie naszych Ziemi Zachodnich. Jest to historyczną szansą naszego pokolenia, którą przede wszystkim winniśmy wykorzystać.

3) Władzę w Polsce objęły partie zablokowane, gdyż one trafniej niż inni i w stosownym ku temu czasie przewdzieli zasadniczy tok najbliższych lat polskiej historii. Sądzić należy, iż władzę tę utracą dopiero wtedy gdy popełnią błąd w swych przewidywaniach przyszłościowych.

4) Polska potrzebuje w tej chwili przede wszystkim pokoju tak zewnętrznego, jak i wewnętrznego. W rezultacie naszej walki stosowanych wobec nas akcji ekstremalnych, jesteśmy u kresu sił biologicznych i u progu ruiny materialnej. Tak wojna międzynarodowa, jak wojna domowa grożą nam stoczeniem się nieuchronnym w przepaść biologiczną

materiałną, która może być początkiem wymierania narodu. Pokój zewnętrzny zagwarantują nam stosowne organizacje międzynarodowe. Pokój wewnętrzny jednak musimy chronić sami, ustalivszy hierarchię potrzeb narodowych, w której konieczność biologicznego, materialnego i kulturalnego wzmocnienia się narodu wyżej musi być postawiona, niż zrealizowanie jakichś koncepcji politycznych, wewnętrznych. Pokój wewnętrzny jest nam poza tym nieodzowny, by wreszcie nasze życie polityczne mogło kiedyś wejść na normalne tory: a nastąpić to tylko może w wyniku pokojowego ewoluowania stosunków wewnętrznych, jako rezultat normalnego rozwijania się Polaków, które w życie polityczne wchodzić będą nie w rezultacie wojen, więzień i konspiracji, lecz drogą naturalnej selekcji życia społecznego.

5) Grupy tak zwanych katolików niezależnych są w opozycji w stosunku do rządzącego krajem reżimu, gdyż od grup samookreślających się jako Blok Stronnictw Demokratycznych różnią się:

po pierwsze — zasadniczo odmienną postawą filozoficzną,

po drugie — odmiennym w wielu zasadniczych sprawach poglądem na rodzaj ingerencji państwa w życie jego obywateli.

6) W dzisiejszej historycznej sytuacji politycznej Polski możliwe są cztery rodzaje opozycji. Są to:

po pierwsze — działalność nielegalna, podziemna,

po drugie — zasadnicza negacja jakiegokolwiek współpracy politycznej, polegająca na odsunięciu się od czynnego życia w państwie, bez uprawiania jednak nielegalnej działalności organizacyjnej,

po trzecie — emigracja, będąca pewną szczególną formą postawy poprzedniej, lub też szczególną kombinacją obu postaw wymienionych,

po czwarte — opozycja parlamentarna, to jest uznająca istniejący porządek państwa w państwie, współtworząca życie w państwie tak konkretną pracą wykonawczą, jak pracą ustawodawczą przez realizowanie społecznej funkcji, przypadającej opozycji politycznej w państwie.

Z powyższych stwierdzeń nasuwają się wnioski.

Odrzucamy kategorycznie formę nielegalnej opozycji, gdyż, zdaniem naszym: z jednej strony działalność taka nie ma żadnych realnych szans zmiany istniejącego ustroju, z drugiej strony — jest ona nieustannym zarzewiem niepokoju i zamieszek, utrzymuje ona permanentny stan wrzenia w kraju, który nie tylko utrudnia realizowanie postulatów bogacenia się materialnego i cywilizacyjnego narodu, ale ponadto powoduje dalszy wpływ krwi, tak niezbędnej dla utrzymania narodu przy życiu. Jesteśmy przeciw śmiertelnie wyczerpani.

Odrzucamy kategorycznie jakąkolwiek formę negacji politycznej, polegającą na odsunięciu się od czynnego życia państwowego. Odsuwający pozbawiają się dobrowolnie jakiegokolwiek wpływu na bieg spraw w kraju, gdyż jest starą maksymą polityczną, iż w polityce nieobecni cokolwiek by twierdzili, nie mają racji. Nie chcemy być nieobecni, gdyż historia nauczyła nas po wielokroć i nader boleśnie, że naszego losu nikt za nas nie ukształtuje. Jeśli nawet dziś wydaje się, iż obecność opozycji nie wpływa praktycznie na rządy, to jednak nie wiadomo, czy jutro sytuacja ta się nie zmieni o tyle że obecni będą mogli na rządy te wpływać. W grze politycznej okresu tak ważnego należy być zawsze obecnym.

Odrzucamy kategorycznie formę emigracji — jest to omówiona powyżej forma nieobecności politycznej, tym skodliwsza, iż w stadium masowym narażająca zbyt wiele krwi polskiej na wynarodowienie się.

Życie polityczne w kraju ma szansę stabilizacji i normowania się. Stabilizacja łączy się z pacyfikacją wewnętrzną. Dwa elementy składają się na możliwość pacyfikacji: dogasanie i wygasanie podziemia i umiejętna amnestyjna polityka władz państwowych. Wydaje się nam, iż niezależne grupy katolickie — związane w przeszłości z ośrodkami, z jakich wywodzi się dzisiejsza konspiracja, a dziś rozumiejące aktualną rację stanu — są szczególnie predysponowane do odegrania ważkiej roli w dziele uspokojenia kraju. Uspokojenie to może się układać po naszej myśli, jak i wbrew nam, jeżeli jednak uchylimy się od współpracy w dziele odbudowy pokoju i bogactwa kraju wraz z innymi grupami dążącymi do tego samego — ten pokój to pewno napewno zostaną osiągnięte mimo nas a nawet przeciw nam. Wtedy dotkliwie odczuć to może na sobie cała katolicka ludność Polski.

Wytyczne

AMNESTJA

NACZELNĄ troską narodów, odbudowujących swoje życie społeczne, jest jak najszybsze usunięcie śladów wojny. Im mniej jest w tej dziedzinie do zrobienia, im jest słabsze moralne i materialne piętno pozostawione przez minionych sześć lat, tym prędzej może nastąpić stabilizacja, tym łatwiejszą staje się odbudowa.

Społeczeństwo polskie jest w tej dziedzinie w cięższym położeniu od innych. Długotrwała i wyjątkowo głęboko sięgająca okupacja pozostawiła na naszym terenie więcej niż gdzie indziej śladów. Wśród nich najbardziej może tragiczne w konsekwencjach dla życia społecznego są pozostałości po mylnych rachubach i fałszywych kierunkach politycznych — organizacje konspiracyjne i zagubieni w nich ludzie.

Mechanizm narastającego pokoju nie pozostawia miejsca na podziemie. W sensie jednostkowym zmusza każdego do zajęcia określonego stanowiska w funkcjonującym coraz normalniej społeczeństwie, do wykonywania zawodu, obowiązków rodzinnych i gospodarczej walki o byt. W sensie zbiorowym likwiduje te organizmy, które nie wynikają z naturalnych potrzeb społecznych, są próbą tworzenia rzeczywistości fikcyjnej. Ogólnie niszczy i niszczyć musi instytucje i działania, które nie mieszczą się w ramach określonych kodeksem moralnym i ustawą prawną.

Waga problemu polega na tym, że z jednej strony podziemie przed zlikwidowaniem wyrządza ogromne materialne i moralne szkody, z drugiej — jego mechaniczna likwidacja byłaby wzmaganie pozostałych po wojnie nastrojów nieufności, zarówno w pewnej części społeczeństwa w kraju, jak i na emigracji. Jądro sprawy tkwi w tym, by jednocześnie eliminować jednostki szkodliwe i zwiększać zastępy czynnych i pozytywnych, by nie tylko mechanicznie chronić, ale i wychowywać, by wreszcie zniszczyć nie tylko zewnętrzne przejawy polityczne błędów myślowych, ale i samą psychozę, w której mogą się one rodzić. Dopiero wtedy nastąpi wyzwolenie z pozostałego po wojnie kompleksu.

Jesteśmy ostatnio świadkami likwidacji samej góry konspiracyjnego podziemia. Seria procesów politycznych daje nam obraz nie tylko odpowiedzialności karnej, ale i kryzysu konspiracji. Chodzi o to, by zagubionych w niej ludzi nie tracić dla konstruktywnej pracy dla zawsze.

Społeczeństwo, które poniosło tak wielkie straty, które tak straszne nosi ślady okupacji, nie może z nich zbyt łatwo zrezygnować. Dlatego, karząc tam gdzie nie ma szans powrotu, gdzie winą przerosnie zasługę, musi raz jeszcze, mimo bolesnych doświadczeń, umożliwić błędzonym rozpoczecie nowego życia. Wołamy o ponowną amnestię.

Nie zamyka się ona w problemie darowania win. Raz już zostały otwarte bramy więzienia i niewiele to pomogło. Za zmniejszeniem kary, czy raczej — przed nim, isć musi odbudowanie zaufania do człowieka i umożliwienie mu pełnego współuczestnictwa w pracy całego społeczeństwa. Wówczas jedynie powstanie właściwy klimat wychowawczy. Wówczas wymazanie okupacyjnej psychozy stanie się realniejsze. Wówczas wreszcie może uda się wejść na drogę tych wartości moralnych, które umożliwiają wygranie największej walki, walki o pokój świata.

W kraju...

DZIENNIK KATOLICKI

WYCHODZI obecnie w Polsce dużo lepszej lub gorzej redagowanych pism codziennych — sama Warszawa ma ich około dziesięciu. Na brak prasy uskarżać się nie możemy. W tym licznym wachlarzu, niestety, jak dotychczas brakowało dziennika, który reprezentowałby wyraźny światopogląd katolicki i licznym rzeszom katolików polskich dawał codziennie do rąk ocenę spraw bieżących, zgodną z duchem katolickim. Z radością więc należy powitać wiadomość, że w najbliższych dniach takie właśnie pismo zacznie wychodzić. Dotychczasowy współredaktor „Dziś i Jutro” Wojciech Kętrzyński obejmuje naczelną redakcję tworzącego się dziennika, który choć wyjdzie nie opatrzone oficjalnym podtytułem „katolicki”, stawia sobie za zadanie szerzenie i pogłębianie katolickich idei. Inicjatywa założenia dziennika wyszła z kół świeckich działaczy katolickich, ale władze kościelne zostały o niej powiadomione i wiedzą potrzebę tego kroku.

W dzisiejszym numerze naszego pisma artykuł wstępny Kazimierza Koźniewskiego gruntownie oświetla zasadniczy cel i kierunki nowego działania. Te same założenia i tę samą koncepcję będą kształtowały linię powstającego dziennika. Jesteśmy głęboko przekonani, że dziennik ten jest bardzo potrzebny i ma duże zadania do spełnienia. Wierzymy, że opinia polska powita go z radością i że przy pomocy najszerszych kół katolickich — tak kościelnych, jak i świeckich — dotrze szybko do najdalszych zakątków kraju.

Redakcji, borykającej się z przeróżnymi trudnościami technicznymi, życzymy serdecznie: Szczęść Boże!

KRYZYS W P. S. L.?

VICE-PREMIER Mikołajczyk nie ogłosił po wyborach żadnego oświadczenia. Natomiast dwukrotnie zebrała się NKW PSL, która zdecydowała zgłoszenie protestu wyborczego w całym kraju i zwołanie Rady Naczelnej na dzień 1 i 2 lutego. Rada Naczelna zbiera się w nefajnym składzie, przy udziale zastępców członków Rady, posłów USL'u, członków Głównej Komisji Rewizyjnej i Głównego Sądu Partijnego, którzy wspólnie mają zdecydować o dalszej linii politycznej stronnictwa i o ewentualnej rezygnacji z mandatów poselskich.

Prasa rządowa stale donosi o poważnych rozdziewłkach w łonie kierownictwa PSL. Podobno między prezesem Mikołajczykiem, Wójcikiem i mec. Karbońskim z jednej strony, a ministrami Kiernikiem i Wycechem z drugiej istnieje zasadnicza rozbieżność poglądów. Najbliższa przyszłość sprawę tę wyjaśni.

Z uwagą i troską — tak jak cały kraj — będziemy śledzić obrady Rady Naczelnej PSL. Od jej decyzji bowiem zależy będzie nie tylko los PSL i ruchu ludowego, ale też szereg zasadniczych zagadnień ogólnonarodowych.

BLUŹNIERSTWA W KUŹNICY

Z **UZNANIEM** stwierdzamy, że ostatni numer „Kuźnicy”, zawierający bluźniercze przedruki z antykatolickiego pisma włoskiego „Don Barillio”, został — na kazem władz wycofany z obiegu.

LIST OTWARTY DO ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW POLSKICH

W związku z bezwstydną i obraźliwą — przekraczającą ocenę literackiej wartości książki „W otchłani” — napacją Tadeusza Borowskiego na wielką Artystkę i wielką Działaczkę społeczną Zofię Kossak w Nr 1 (7) „Pokolenia”, zwracamy się do Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich z zapytaniem, jakie kroki podejmie Zarząd, aby odeprzeć napasę na nieobecną chwilowo w kraju Autorkę „Kryżowców” oraz jakie przedsięwzięcie kroki, aby zapobiec na przyszłość występom domorosłym publicystom przeciwko niemogącym się chwilowo bronić Pisarzom.

ZESPÓŁ „DZIŚ I JUTRO”

Jeżeli Polska przetrwa lata światowego chaosu, jaki trwa teraz, a jaki zapowiada nowy porządek ziemi, jeżeli nastąpi u nas wewnętrzne uspokojenie, jeżeli w związku z tym miną czasy stosowania szeregu nadzwyczajnych przejściowych rygorów — wierzymy, iż wtedy na koniec czeka nas okres normalnego życia politycznego, opartego o rzetelną bazę parlamentu.

Wobec istnienia różnic światopoglądowych między nami a ludźmi kierującymi reżimem — nie mamy możliwości brania pełnej odpowiedzialności za rządy dzisiejsze. Istnieje dla nas jedyna forma współpracy państwowej — forma opozycji, mogącej ewentualnie współuczestni-

czyć w rządzeniu tylko na specjalnie określonych warunkach, ale gotowej do pełnej współpracy w realizowaniu tych wszystkich postulatów współczesnej polskiej racji stanu, jakie postawione są przed naszym pokoleniem.

Zdajemy sobie sprawę z naszej znikomej mniejszości w rozpoczynającym się Parlamencie. Zdajemy sobie sprawę, iż ta nikła cyfra z góry negatywnie przesądza możliwość decydowania w sprawach nawet najbardziej zasadniczych. Boleje my nad tym, nie mniej jesteśmy zdania, iż na tym forum, gdzie zapadać będą decyzje o losach naszego narodu na przeciąg las najbliższych, musi być głos, który w sposób jasny i bezkompromisowy,

w formie aprobującej lub oponującej, wyrażać będzie postulaty, potrzeby, dążenia i wiarę polskiej ludności katolickiej. W naszym rozumieniu jest to droga nie tylko do ujawniania opinii społeczności katolickiej, ale też rzetelna praca, mająca na celu uspakajanie, a nie jątrzenie stosunków politycznych w kraju.

Reprezentacja parlamentarna, później dziennik — to początki pracy. Dalszym etapem której będzie zorganizowanie stronnictwa. Najbliższa rozgrywka wewnętrzno-polityczna — wybory samorządowe — winny zastać nas już należycie zorganizowanych.

Kazimierz Koźniewski

WARIAT

(z „Ortodoksji” K. G. Chestertona)

Całkowicie światowi ludzie nie rozumieją nawet świata; polegają oni zupełnie na niewielu cynicznych, a fałszywych zasadach. Przypominam sobie pewien spacer z zamożnym wydawcą, który, idąc ze mną, ucznił uwagę, często przeze mnie słyszaną już przedtem; jest ona, zaiste, prawie mottom nowoczesnego świata. Jednakże zbyt często ją słyszałem; nagle zobaczyłem, że istotnie nic w niej niema. Wydawca rzekł o kimś: „ten człowiek zajdzie daleko; on wierzy w siebie”. I pamiętam, że podnosząc głowę, aby lepiej słyszeć, spostrzegłem omnibus, na którym widniał napis: „Hanwell”. I rzekłem towarzyszącemu: „Czy mam panu powiedzieć, gdzie znajdują się ludzie, którzy najczęściej wierzą w siebie? Bo mogę to panu powiedzieć. Znam ludzi, którzy wierzą w siebie mocniej, niż Napoleon, lub Cezar. Wiem, gdzie właśnie stała gwiazda pewności i powodzenia. Mogę pana zaprowadzić do tronów Nadludzi. Ludzie, którzy naprawdę wierzą w siebie, znajdują się wszyscy w szpitalach dla obłąkanych”. Wydawca łagodnie odparł, że mimo wszystko jest sporo ludzi, którzy wierzą w siebie, a nie są w tych szpitalach. „Tak są tam — odparłem — a pan pierwszy z wszystkich ludzi powinien ich znać. Ten zapity poeta, od którego pan nie chce wziąć posępnej tragedii, ma wiarę w siebie. Ów starszy pastor z epickim utworem, przed którym się pan chowa do tylnego pokoju, również wierzy w siebie. Jeśli pan spyta własnego doświadczenia w interesie, zamiast swej brzydkiej indywidualistycznej filozofii, to pan zobaczy, że wiara w siebie jest jednym z najpospolitszych oznak niedołęstwa. Aktorzy, którzy nie mogą grać, wierzą w siebie; podobnie dłużnicy nie chcący płacić. Byłoby znacznie słuszniej powiedzieć, że człowiekowi się napewno nie uda, bo za bardzo wierzy w siebie. Zupełnie zaufanie do siebie jest nie tylko grzechem; jest ono słabością. Wiara ostateczna w siebie jest wiarą tak samo przesadną i histeryczną, jak wiara w Joannę Southcote. Człowiek, który ją posiada, ma zarazem na twarzy napis „Hanvell”, tak samo wyraźny, jak na tym omnibusie”. A na to wszystko mój przyjaciel wydawca dał tę głęboką i skuteczną odpowiedź: „A więc, jeśli człowiek nie powinien w siebie wierzyć, to w co ma wierzyć?”. Po długiej przerwie odrzekłem: „Pójdę do domu i napiszę książkę w odpowiedzi na to pytanie”. I oto książka, którą napisałem w odpowiedzi.

Lecz myślę, że książka ta może się zacząć stąd, skąd się zaczęły nasze argumenty — w sąsiedztwie domu wariatów. Nowocześni mistrzowie nauki są pod silnym wrażeniem potrzeby zacytowania badań od faktu. Dawni mistrze religii od czuwali zupełnie podobną potrzebę. Rozpoczynali oni od faktu grzechu, faktu równie praktycznego, jak kartofle. Czy człowiek mógł, czy nie mógł być obmyty w cudownych wodach, w każdym razie nie było wątpliwości, że chciał być obmyty. Lecz niektórzy religijni przywódcy w Londynie, nie tylko materialści, zaczęli w naszych czasach zaprzeczać nie tylko wysoce podlegającej dyskusji wodzie, ale niepodlegającemu dyskusji brudowi. Niekiedy nowi teologowie podają w wątpliwość grzech pierworodny, będący jedyną częścią chrześcijańskiej teologii, która naprawdę może być dowiedziona. Niekiedy uczniwie Wielkiego R. J. Campbella, w swej — aż nazbyt wymyślonej duchowości, przyjmują teologiczną bezgrzeszność, której nie mogą dojrzeć na-

wet w swych sennych marzeniach. Lecz zaprzeczają oni samej istocie ludzkiego grzechu, który mogą zobaczyć na ulicy. Najwięksi święci, jak równie najwięksi sceptycy brali wyższe zio za punkt wyjściowy dowodzeń. Jeśli prawdą jest (co jest pewne), że człowiek może czuć wyszukaną przyjemność w obdzieraniu kota ze skóry, to religijny filozof może przyjąć jedną z dwóch dedukcji. Albo zaprzeczy istnieniu Boga, jak czynią wszyscy ateusze; albo musi zaprzeczyć obecnej łączności między Bogiem i Człowiekiem, jak czynią wszyscy chrześcijanie. Nowi teologowie zdają się uważać za wysoce racjonalne zaprzeczyć istnieniu kota.

W tym ciekawym położeniu widzimy jasno, że nie jest dziś możliwe zaczynać, jak nasi ojcowie, od faktu grzechu. Ten fakt, który był dla nich (jak jest i dla mnie) tak jasny, jak drzewce kopii, jest faktem, który został dziś szczególnie zamazany, lub zgoła zaprzeczony. Lecz choć nowocześni przeczą istnieniu grzechu, to nie zaprzeczają oni, spodziewam się, istnieniu domu wariatów. Wszyscy zgadzamy się na to, że zachodzi czasami upadek umysłu tak oczywisty, jak upadek domu. Człowiek zaprzecza piekłu, ale, jak dotąd, nie zaprzeczył jeszcze istnieniu „Hanwellu”. W naszym początkowym rozumowaniu możemy podstawić drugie w miejsce pierwszego. Sądzę, że podobnie jak wszystkie myśli i teorie były kiedyś oceniane ze względu na to, czy zmierzały do zatracenia duszy ludzkiej, tak dla obecnego naszego celu możemy sądzić wszystkie nowoczesne myśli i teorie ze względu na to, o ile wpływają one na utratę przez ludzi rozumu.

Prawda, że niektórzy mówią o obłądzeniu i powierzchnownie, że jest on sam w sobie pociągający. Lecz chwila namysłu ukaże nam, że jeśli choroba jest piękna, to jest to zazwyczaj choroba kogoś innego. Człowiek ślepy może być malowniczy; lecz potrzeba dwóch oczu dla ujrzenia tego obrazu. I podobnie najdziwnsza nawet poezja obłądzenia może sprawiać przyjemność tylko zdrowemu. Obłąd dla wariata jest zupełnie prozaiczny, ponieważ jest zupełnie prawdziwy. Człowiek, który się uważa za kurczę, jest w swych oczach tak samo zwyczajny, jak kurczę. Człowiek, uważający się za kawałek szkła, jest dla siebie samego tak samo właśnie nudny, jak kawałek szkła. To właśnie jednorodność jego umysłu czyni go nudnym i obłąkanym. A tylko dlatego, że widzimy ironię jego myśli uważamy go za śmiesznego; tylko dla tego, że on sam nie widzi ironii swych myśli, pakują go do „Hanwellu”. Krótko mówiąc, dziwactwa uderzają tylko zwykłych ludzi. Dziwactwa nie robią wrażenia na dziwakach. Oto dlaczego zwyczajni ludzie spędzają czas w podnieceniu, podczas gdy dziwacy uskarżają się na nudę życia. I dlatego też nowe powieści umierają tak szybko, gdy stare bajki trwają wiecznie. Bohaterem w starych bajkach jest zwyczajny, ludzki chłopiec; tylko jego przygody są niezwykłe i zadziwiają go dlatego, że jest on zwyczajny. Lecz w nowoczesnych powieściach psychologicznych bohater jest nienormalny; środek nie leży pośrodku. Stąd najdziwniejsze przygody nie wywierają nań proporcjonalnego wrażenia i książka jest nudna. Można stworzyć opowiadanie o bohaterze między smokami, lecz nie o smoku między smokami. Bajka rozpatruje, co zdrowy człowiek robi w zwiariowanym świecie. Trzeźwa powieść realistyczna z czasów dzisiejszych

za, co prawdziwy wariat uczyni w świecie nudnym.

Zacznijmy zatem od domu wariatów. Z tej to fantastycznej złowródnej gospody wyruszymy w naszą intelektualną podróż. I teraz, jeśli mamy spojrzeć na filozofię zdrowia, to musimy najpierw wyznaczyć z niej wielki, a powszechny błąd. Istnieje pogląd wszędzie zabłąkany, że wyobraźnia, szczególnie mistyczna, jest niebezpieczna dla umysłowej równowagi człowieka. O poetach mówią powszechnie, że są niepewni psychologicznie; istnieją nawet luźne skojarzenie między opłataniem włosów wawrzynem i tkwiącą w nich słomą. Fakty i historia całkowicie przeczą temu pogładowi. Większość naprawdę wielkich poetów była nie tylko zdrowa, ale w najlepszym porządku, i jeśli Szekspir istotnie trzymał konie, to dlatego, że był do tego celu najzdrowszym człowiekiem. Wyobraźnia nie rozwija o błąd. Czyni to rozum. Poeci nie dostają obłąd; ale szlachci dosyć często. Matematycy wariują, kasjerzy; ale twórcy artyści bardzo rzadko. Jak to zobaczymy, nie atakują logiki w żadnym znaczeniu, tylko twierdzą, że niebezpieczeństwo leży w logice, a nie w wyobraźni. Artystyczne ojcostwo jest równie zdrowe, jak fizyczne. Co więcej, warto zauważyć, że jeśli jakiś poeta kiedykolwiek chorował, to przyczyną tego był zazwyczaj jakiś słaby punkt racjonalności jego umysłu. Poe naprzykład był rzeczywiście chory; nie dlatego, że był poetyczny, lecz dlatego, że był szczególnie analityczny. Nawet szachy były dla niego zbyt poetyczne; nie lubił szachów dlatego, że pełne są rycezy, koni, wież zamkowych, zupełnie jak poemat. Otwarcie wolał czarne krążki warcab, ponieważ więcej są podobne do czarnych kropek wykresu. Być może, najbardziej uderzającym przypadkiem spośród wszystkich jest jeden tylko wielki angielski poeta, który zwiariował — Cowper i on do szaleństwa doszedł stanowczo dzięki logice, brzydkiej, odrażającej logice predestynacji. Poezja była dla niego nie chorobą, lecz lekarstwem — poezja częściowo zachowywała w nim zdrowie. Mógł on czasami zapomnieć o czerwonym, bezwodnym piekło, do którego wiódł go obrzydły fatalizm, pomiędzy szerokimi wodami i białymi liniami rzeki Uzy. Był on skazany przez Jana Kalwinę; był on prawie ocalony przez Jana Silpina. Wszędzie widzimy, że ludzie nie wariują z powodu marzenia. Już krytycy częściej wariują niż poeci. Homer jest dostatecznie cały i spokojny; to jego krytycy rozrywają go na niedorzeczne łachmany. Szekspir był napewno sobą — tylko niektórzy z jego krytyków odkryli, że był on kimś zupełnie innym. I choć święty Jan Ewangelista widział w swym widzeniu wiele dziwnych potworów, to nie ujrzał tam ani jednego tak dziwnego stworzenia, jak jeden z jego komentatorów. Fakt ogólny jest prosty. Poezja jest zdrowa, ponieważ jest płynnie swobodnie po nieskończonym morzu; rozum stara się je przeciąć i uczynić skończonym. Rezultatem tego jest wyczerpanie umysłu, podobne do fizycznego wyczerpania p. *Mo* beina. Przyjęcie wszystkiego jest ćwiczeniem; zrozumienie wszystkiego jest nadużyciem. Poeta pragnie tylko zachwyty i ekspansji; świat służy mu za środowisko do rozwoju. Poeta chce tylko umieścić swoją głowę w niebie. Natomiast *lik* chce niebo zmieścić w swojej głowie. I głowa pęka.

Przekładai
Zygmunt Jakimiak

W świetle... Konstanty Łubieński

24 ŻĄDANIA POLSKI

DELEGACJA Polski przedłożyła na konferencji w Londynie żądania pod adresem Niemiec. Żądania stwierdzają, iż Niemcy dwukrotnie wywołując wojnę w ciągu jednego pokolenia, stały się winne zbrodni przeciw pokojowi i ludzkości, że wyeliminowanie niebezpieczeństwa Niemiec zostało postanowione w Jalcie i Poczdamie, że organizacja nowego ładu międzynarodowego, celem zabezpieczenia pokoju, winna się opierać na zasadzie współpracy wszystkich państw miłujących pokój, że Polska, jako wschodni sąsiad Rzeszy, szczególnie narażony jest na jej każdorazową agresję, jest specjalnie zainteresowana w należytym załatwieniu kwestii Niemiec — ujęte są w następujące punkty:

1. Przebudowa Niemiec przez rozbrojenie, demilitaryzację i denazifikację jest warunkiem ładu międzynarodowego.
2. Celem zapewnienia jednolitości wykonania tego programu — władzę najwyższą po wejściu w życie traktatu winna nadal sprawować Sojusznicza Rada Kontroli. W miarę realizacji tego programu mogłyby zacząć funkcjonować władze niemieckie o ograniczonym zasięgu.
3. Należy rozciągnąć kontrolę nad wychowaniem niemieckiego społeczeństwa w duchu demokracji i pokoju.
4. Zakaz propagandy na terenie Niemiec, rewizji granic, Anschlussu, idei supremacji Niemiec itp.
5. Likwidacja Prus, jako źródła zagrożenia Europy.
6. Ustalenie ustroju i jedności Niemiec uzależnione winno być od postępów w zakresie ich demokratyzacji.
7. Od wejścia w życie traktatu do czasu pełnej demokratyzacji Niemcy winny pozostawać nadal pod kontrolą władz sojuszniczych.
8. Polska winna być dopuszczona do przedstawiania organom kontrolnym swego punktu widzenia.
9. Traktat winien ustalić, w jakim zakresie Niemcy mogą być dopuszczone do współpracy międzynarodowej w miarę postępów ich demokratyzacji.
10. Należy usprawnić wymiar sprawiedliwości zdrajców wojennych oraz zrealizować w pełni ekstradycję zbrodniarzy państwom, na których szkodę działali.
11. Każdy plan gospodarczy Niemiec winien zadośćuczynić następującym postulatom: a) gospodarka Niemiec pracuje tylko dla celów pokojowych, b) zabezpieczenie pierwszeństwa odbudowy krajom zniszczonym, c) rozwój przemysłu i produkcji Niemiec winien zabezpieczyć słusze odszkodowania od Niemiec.
12. Jedność gospodarcza Niemiec winna być uwarunkowana spełnieniem powyższych warunków.
13. Granica wschodnia Niemiec winna przebiegać zgodnie z uchwałami poczdamskimi.
14. Polska jest szczególnie zainteresowana w odszkodowaniach od Niemiec, specjalnie w sprzecie przemysłowym.
15. Straty polskie w dorobku kulturalnym i naukowym winny być pokryte przez odpowiednie równowartości.
16. Polska domaga się zwrotu mienia zagrabionego lub też równowartości tego mienia.
17. Niemcy będą zobowiązane zwrócić Polsce i Polakom wszelkie świadczenia, dokonane na rzecz państw sojuszniczych i neutralnych z tytułu czynności prawnych, obciążających przedmioty majątkowe, znajdujące się na ziemiach włączonych do Polski.
18. Winny zostać oddane wszelkie archiwa i akta, dotyczące ziem włączonych do Polski.
19. Rząd Polski zastrzega sobie przedłożenie dalszych, szczegółowych wniosków.
20. Wnioski szczegółowe będą również złożone w sprawie wynagrodzenia strat wyrządzonych przez Niemcy.
21. Żąda się udziału Polski w wykonaniu gospodarczych postanowień kontroli traktatu.
22. Rząd Polski zastrzega sobie możność korektur i uzupełnień stosownie do rozwoju dalszej sytuacji.
23. Rząd Polski uważa, iż winien być nadal konsultowanym w sprawach dotyczących Niemiec lub innych dotyczących Polski.
24. Podpisanie traktatu winno nastąpić w Warszawie

Dr Kazimierz Studentowicz zamieścił w „Tygodniku Warszawskim“ (z 12.147 Nr 2) artykuł p. t. „Radykalizm ruchu chrześcijańsko-społecznego w Polsce“.

Z uwagi na poruszone w tym artykule zagadnienia, osobę autora, który jest poważną postacią i jako ekonomista i jako działacz ruchu chrześcijańsko-społecznego, oraz z uwagi na stanowisko, jakie autor zajmuje wobec pewnych bieżących zagadnień, uważam za konieczne artykuł ten omówić.

Wywody autora można ująć w następujące punkty:

1) Najistotniejszą cechą chrześcijaństwa jest duch czynnej miłości społecznej.

2) W imię tego ducha „chrześcijaństwo dokonało w świecie pogańskim największej rewolucji społecznej wszystkich czasów“, polegającej na:

a) „stworzeniu pojęcia człowieczeństwa i przyznaniu go wszystkim bez wyjątku“;

b) zrewolucjonizowaniu prawa własności, „zmieniając je z „prawa używania i nadużywania“ na społeczne władanie w imię dobra ogółu“.

3) W okresie średniowiecza „chrześcijaństwo zdobywszy pozycję religii panującej, przenika w coraz większej mierze duchem czynnej miłości bliźniego instytucje polityczne i społeczno-gospodarcze“.

4. Upadek wpływów chrześcijaństwa zaczął się wówczas, kiedy przestało ono być czynnikiem aktywnym w dziedzinie rozwoju życia publicznego, przy czym bierność chrześcijaństwa pozwoliła różnym elementom, „stojącym formalnie na gruncie chrześcijańskim“, posługiwać się imieniem chrześcijaństwa do realizacji swoich egoistycznych, społecznych celów, co w konsekwencji spowodowało nadanie ruchom społecznym charakteru antychrześcijańskiego.

5) Kłócił w odróżnieniu od poszczególnych członków hierarchii losów swoich nigdy z żadnym ustrojem politycznym i gospodarczym nie łączył i nigdy złączyć nie zamierza, przeciwko zaś nadużyciom kapitalizmu od wielu dziesiątków lat aktywnie występuje“.

6) Encykliki papieskie „Rerum Novarum“ i „Quadragesimo anno“ wytyczają tylko pewne zasady ustroju gospodarczego, a wykuwanie form praktycznych jest domeną świecką.

7) Istnieje konieczność i możliwość „daleko idącej współpracy z marksizmem w dziedzinie społeczno-gospodarczej, o ile tylko wspólnym celem jest t. zw. społeczne wyzwolenie świata pracy“.

Jako zagadnienie bezsporne uważa autor: a) upaństwowienie względnie uspołecznienie kluczowych gałęzi życia gospodarczego; b) wprowadzenie gospodarki planowej; c) stosowanie przymusu, o ile tylko przymus ten nie jest sprzeczny z zasadami moralności.

Natomiast jako zagadnienie sporne wymienia autor własność prywatną średnich i drobnych przedsiębiorstw. Jednakże domaga się tak daleko posuniętej socjalizacji dochodów tych przedsiębiorstw, że przy utrzymaniu formalnych tytułów własności prywatnej skutki społeczne będą te same, co przy ich zniesieniu.

8) Autor przypomina, że istnieją „formy radykalizmu, wypracowane i ogłoszone w konspiracji oraz powtórzone po wojnie“, co jednak jest pomijane w toczącej się dyskusji na temat radykalizmu katolickiego.

9) W konkluzji autor stwierdza, że nigdzie ruch chrześcijańsko-społeczny nie jest tak radykalny, jak w Polsce, natomiast różni, jak się autor wyraża, „kandydaci na katolików radykalnych przechodzą do porządku dziennego nad konkretnymi sformułowaniami, a sami nie wiedzą, czym i jak swój radykalizm uzasadnić“.

II

Sformułowania, zawarte w punktach 1 do 6 i częściowo w punkcie 7, uważam za

Znowu o radykalizmie

szczególnie trafne, godne jak najszerszego rozpowszechnienia, dlatego też podaję je w możliwie dokładnym streszczeniu. Natomiast dalsze wypowiedzi Dr. Studentowicza nasuwają pewne zastrzeżenia.

Zanim jednak przejdę do omówienia tych zastrzeżeń, muszę nadmienić, że z dużą satysfakcją przeczytałem oświadczenie Dr. Studentowicza, iż w Polsce istnieje konieczność i możliwość współpracy z marksizmem w dziedzinie społeczno-gospodarczej. Kiedy bowiem przed rokiem rozpoczynaliśmy działalność publicystyczną i tę właśnie tezę wysunęliśmy na łamach „Dziś i Jutro“, pomruk oburzenia przeszedł przez pewne środowiska katolickie, a różni mali ludzie, znajdujący się niestety również w tych środowiskach, wykorzystywali to dla rozsiewania bezsensownych i nieuczciwych insynuacji. Dzisiaj nastawienie dużej części opinii katolickiej uległo zmianie, polegającej na uznaniu słuszności powyższej tezy oraz na pozytywnej ocenie działalności naszego zespołu. Natomiast trudno zgodzić się na motywy, jakie Dr. Studentowicz przytacza dla uzasadnienia swego stanowiska. Tok rozumowania Dr. Studentowicza jest następujący: ruch chrześcijańsko-społeczny może współpracować z ruchem marksistowskim, gdyż jest również radykalny, a poza tym ruch chrześcijańsko-społeczny w Polsce jest najbardziej radykalnym ze wszystkich tego rodzaju ruchów. Na dowód wymienia Dr. Studentowicz zagadnienia, które są poza dyskusją, jako całkowicie bezsporne. Zagadnienie własności prywatnej małych i średnich przedsiębiorstw jest tylko sporne pozornie. Dr. Studentowicz bowiem tak daleko posuwa socjalizację dochodów, że utrzymuje formalnie prawo własności prywatnej w stosunku do tych przedsiębiorstw faktycznie staje się fikcją.

Tego rodzaju uzasadnienie możliwości współpracy katolików z marksistami jest niewłaściwe dla obu przyczyn. Primo jest niezgodne z doktryną katolicką, secundo jest niepotrzebne, gdyż program marksistów w Polsce bynajmniej nie wysuwa tak daleko posuniętych postulatów.

Jest rzeczą dziwną, że dr. Studentowicz, będący tak wybitnym znawcą doktryny katolickiej, dokonał sformułowań tak wyraźnie z tą doktryną sprzecznych. Tematowi temu należy poświęcić oddzielny artykuł. Obecnie ograniczam się tylko do stwierdzenia, że wprawdzie doktryna katolicka akceptuje bardzo daleko idące ograniczenia prywatnej własności, jednakże uważa to prawo za prawo przyrodzone, mające zarówno aspekt społeczny, jak i indywidualny. Dlatego też koncepcje stwarzające fikcje z prawa własności prywatnej tam, gdzie ono bez niebezpieczeństwa dla dobra społecznego może rozwijać się, nie mieszczą się w ramach doktryny katolickiej. W tym samym kierunku również wypowiadają się tak wybitni komentatorowie doktryny katolickiej, jak ks. Piwowarczyk i prof. Ludwik Górski.

Możliwość współpracy w Polsce katolików z marksistami istnieje na wielu odcinkach, nie tylko na terenie gospodarczo-społecznym. Możliwość ta jest wynikiem nie tylko radykalizacji ruchu chrześcijańsko-społecznego, lecz również poważnej ewolucji ruchu marksistowskiego. Ewolucja ta jest widoczna w wielu krajach, a w Polsce wydatnia się w szczególności w koncepcji nowego ustroju gospodarczego, która stanowi poważne odchylenie od dawnych koncepcyj tego obozu. Jeśli w pewnym okresie ruch chrześcijańsko-społeczny nie nadążył w dostatecznej mierze za marksistowskimi ruchami społecznymi, nie ma żadnego powodu, aby teraz miał je dystansować. Licytowanie się w lewicowości jest obecnie w Polsce bardzo modne, jednakże katolicy w żadnym razie nie mogą w nim brać udziału. Koncepcja ustroju gospodarczo-społecznego, oparta na personalistycznej doktrynie katolickiej, nie może być ani „prawa“, ani „lewa“, lecz tylko katolicka.

Dr. Studentowicz ubolewa, że opracowania wojenne i powojenne na temat form radykalizmu ruchu chrześcijańsko-społecznego nie są wykorzystywane w dyskusji na temat radykalizmu. Z przykrością muszę stwierdzić, że i mnie i, jak się orientuję, szerokiej opinii publicznej opracowania te nie są znane, natomiast o ile tylko zostaną ogłoszone, z całą pewnością będą wykorzystywane.

Złośliwą i anonimową uwagę zamieszczoną w ostatnim ustępie, składającą o ważnego artykułu, uważam za skierowaną do zespołu „Dziś i Jutro“. Tak się bowiem składa, że „opinio communis“ właśnie zespół „Dziś i Jutro“, a nie inne środowiska katolickie uważa za grupowanie „katolików radykalnych“.

Jeżeli Dr. Studentowicz określa katolików z zespołu „Dziś i Jutro“ jako „kandydatów“ na radykalnych katolików, tym samym chce powiedzieć, że radykalami nie są.

Aby sprawę wyjaśnić, trzeba porozumieć się, o jaki chodzi radykalizm. Jeśli radykalizm ma polegać na licytowaniu się w lewicowości z marksistami, to oczywiście zespół „Dziś i Jutro“ nie jest radykalny. Natomiast, jeśli chodzi o integralną realizację katolickiej doktryny społeczno-gospodarczej, to zespół „Dziś i Jutro“ jest i będzie radykalny.

Wydaje się, że wątpliwości Dr. Studentowicza co do radykalizmu „Dziś i Jutro“ pochodzą stąd, że na łamach tego pisma stosunkowo niewiele, jak dotąd, poświęcano uwagi koncepcyjnym zagadnieniom społeczno-gospodarczym, a Dr. Studentowicz, jako ekonomista, przede wszystkim ten odcinek obserwuje.

Fakt ten również wymaga wyjaśnienia. Zagadnienia społeczno-gospodarcze są niewątpliwie wielkiej wagi. Jednakże realizacja katolickich koncepcyj społeczno-gospodarczych wymaga nie tylko odpowiedniego opracowania tych koncepcyj, lecz przede wszystkim wymaga odpowiednio aktywnej postawy katolików. Otóż właśnie, uświadamianiu społeczności katolickiej konieczności aktywizacji katolików, jako katolików na jak najszerszej płaszczyźnie życia społecznego, poświęcił zespół „Dziś i Jutro“ pierwszy okres swojej działalności. Z tego powodu w tym okresie zagadnienia gospodarcze stanowią w pewnym stopniu zagadnienia wtórne. Poza tym nieliczny początkowo zespół nie posiadał możliwości odpowiedniego przeprowadzania tych szczególnie skomplikowanych zagadnień. Obecnie jednak, skoro po przeszło rocznej działalności zespołu „Dziś i Jutro“ można zanotować szereg poważnych osiągnięć na odcinku aktywizacji katolików, skoro zespół ten uległ znacznemu rozszerzeniu, powstają warunki do podjęcia tych zagadnień, które dotychczas były pomijane, względnie były uwzględniane, lecz w niedostatecznej mierze.

Konstanty Łubieński

OD ADMINISTRACJI

Administracja pros! P.P. prenumeratorów o dokładne i czytelne podawanie nazwisk i adresów.

Brak dokładnego adresu opóźnia, a nawet często uniemożliwia wysyłkę naszego pisma.

Jednocześnie zwracamy uwagę, że od grudnia ubiegłego roku prenumerata miesięczna wynosi 40 zł, kwartalna 120 zł.

Tydzień kulturalny

MŁODOŚĆ I MŁODOŚĆ

MŁODOCIANY asystent prof. Krzyżanowskiego, zdaniem „Kuznicy”, niezmiernie „zdolny” krytyk, niejaki T. Borowski, po zaatakowaniu w sposób wybitnie niekulturalny i nieinteligentny „W rozwalonym domu”, z kolei zabrał się do „oceny” książki Z. Kossak „W otchłani”. (Pokolenie, Nr 7). Recenzja jak recenzja: tendencyjna, chaotyczna, nawiązuje do złośliwa i fenomenalnie nieinteligentna. Ale nie o to chodzi. Recenzje Borowskiego kompromitują w większym stopniu drukujące je pisma niż recenzenta. Lecz w swej recenzji Borowski atakuje już nie książkę Z. Kossak, ale samą osobę autorki „W otchłani”. W stosunku do największej polskiej prozaczki, w stosunku do Człowieka, który był busolą moralną, wzorem i symbolem lat wojennych, w stosunku do działaczki, wobec której najzawziętsi wrogowie ideowi umieli tylko schylić czoło, Borowski przybiera ton mentora i chce ją (Borowski Zofię Kossak!) pouczyć o moralności, o etyce, o „nawrości” jej wiary (bigoterii!), sugerując przy tym bezczelnie, że Z. Kossak korzystała co najmniej z jakichś przywilejów w obozie oświęcimskim. (Ona, która swe paczki rozdawała wśród towarzyszek, aż to zwracało uwagę Niemców!).

Dyskusja z Borowskim nie prowadziła by do niczego — prowadzić jej nie będziemy. Dbamy o poziom. „Kuznica” twierdzi, że dlatego atakuje się Borowskiego, że jest to pisarz, który „wybrał lewicę”. Nie. Borowskiego strofuje się, ponieważ wystąpienia jego obrażają kulturę polską. Są publicyści młodzi — nie wiele starsi od Borowskiego — których jednak szanuje się i z którymi dyskusja jest prawdziwą przyjemnością. Taki np. Wilhelm Mach. Co za poziom, co za kultura. A przecież „wybrał lewicę”. I jest bardzo młody. Z prawdziwą przyjemnością czyta się recenzje Macha. Natomiast jest skandalem drukowanie recenzji Borowskiego.

NAGRODA LITERACKA „ODRY”

NIA 27 stycznia b. r. sąd konkursowy w składzie: Luttmann, Helsztyński, Szewczyk, Wielowieńska, Wyka i Żukrowski przyznał literacką nagrodę czytelników „Odry” Edmundowi Osmańczykowi za całokształt działalności publicznej, ze szczególnym uwzględnieniem „Spraw Polaków” (150 tys. zł.) i Władysławowi Janowi Grabskiemu za „Sagę o Jarlu Broniszu” (100 tys. zł.). Nagroda, jak mówi o tym jej nazwa, ufundowana została całkowicie przez czytelników „Odry”. Należy podkreślić, że wojewodowie śląscy i wojewoda szczeciński złożyli na fundusz nagrody po 50.000 zł. a więc 2/3 nagrody, co świadczy o zrozumieniu dla akcji „Odry” i jej ożywiającej działalności kulturalnej na Ziemiach Odzyskanych.

Wyróżnienie obu pisarzy nie jest dla nikogo niespodzianką. Wyrokowi sądu konkursowego można tylko z zadowoleniem przyklasnąć, a laureatom serdecznie pogratulować.

NOWOŚCI

TRZYMALIŚMY: Ks. arc. A. Szelażowskiego „Syn marnotrawny” (rozważania ewangeliczne), M. Pronińskiego „Twarze przed lustrem” (wyd. Oficyna Wydawnicza), K. Brandysa „Drewniany koł”, K. Pruszyńskiego „Trzynaście opowieści”, J. Putramenta „Rzeczywistość”, Nałkowskiej „Medaliony”, L. Hirszwelda „Historia jednego życia” (wszystkie książki wyd. „Czytelnika”), W. Baka „Syn ziemi” i „Piąta Ewangelia” (wyd. Wł. Baka), J. Rybaltę „Głos mówiącego milczeniem” — rozważania o św. Józefie (wyd. „Caritas”, Łódź).

Także dla młodzieży dwa cenne wznowienia: Z. Kossak „Warna”, okładka Sopoćki (wyd. „Czytelnika” oraz M. Smolarskiego „Warneńczyk” — okładka W. Kalickiego, winiety H. Bielińskiej (wyd. E. Kuthan, Warszawa).

TAM w tym zagajniku schował się jeden Żyd.

— Gdzie?
— O, tu.

Wskazał piaszczystą drogę po drugiej stronie toru, ciągnącą się między dwiema ścianami młodego lasu sosnowego.

Kranc zerwał się na równe nogi, ale zaraz ochłodził. Iść do tak gęstego zagajnika?.. A jeśli to jaka zasadzka?.. Na podstawie długiego doświadczenia nie dowierzał takim młodocianym ulicznikom. Oni to przecie wyśpiewywali po wagonach: „Marsz, marsz Sikorski, z Londynu do Polski! Szwabów wypędzimy, Polskę wyzwolimy!” — a potem po Stalingradzie: „Siekiera, motyka, bimber, alas! Przegrał wojnę głupi malarz!”. W każdym bądź razie nie ulegało wątpliwości, że nie mał wszyscy byli na usługach tajnych organizacji. Wobec tego zwrócił się do podkomendnych:

— Przeszukajcie ten las. Jeden niech zostanie na tej drodze. A zabierzcie z sobą tego chłopaka.

Ale chłopak już zniknął.

Utwierdziło to Kranca w podejrzeniu. Zobaczył też po odejściu żandarmów, że po drugiej stronie toru ukazało się dwóch młodzieńców na rowerach. Wydało mu się to niepokojące. Wstał więc z ławki i poszedł do skleconej z desek budki z chłodzącymi napojami, owocami i słodyczkami. Właścicielem jej był stary, emerytowany kolejarz, Zaleta. Kranec nie poszedł do deski z podniesioną szklaną ramą, stanowiącej bufet, tylko wpakował się przez małe drzwiczki do wnętrza. Była tam tak mała izdebka, że ledwo starczyła na półkę z napojami, małe stołki i jedno krzesło. Zaleta był widocznie trochę zatrzwożony. Nosił on stale na siwej głowie rogatywkę kolejarzską, która z granatowej stała się już od słońca liłowa.

— Co pan Kranec sobie życzy?

— Najpierw opuść pan tę szybę.

— To będzie duszno, a prócz tego, publika przestanie przychodzić.

— Właśnie o to chodzi, żeby nie przychodziła.

Zaleta skwapliwie spełnił rozkaz. Kranec już siedział na krzeselku, kładąc na stołku swój pistolet maszynowy.

— A teraz daj mi pan butelkę kwasu i setkę bimbru.

— Panie kochany, bimbru? Ja tego nie trzymam.

— Żeby tylko nie zaczął szukać.

— No tak, człowiek czasem się napije, a monopółki dostać nie można. Mam tam ciwartuchnę, to mogę się z panem Krancem napić. Ale to na mój rachunek.

— Dawaj pan!

Zaleta zakrzępnął się przy szafce, oglądając się na żandarma nieufnie. Wreszcie postawił na stołku dwie szklanki do wody sodowej z grubego szkła i napełnił je z ciemnobrunatnej butelki od kwasu.

— To bimber?

— Pan Kranec spróbuje. Mam też kawałek pieczonego boczek, co go kupiłem dla siebie.

— To jedz pan. Dla mnie daj kwasu.

Zaleta spełnił polecenie, obracając ku Krancowi twarz roześmianą w tysiące zmarszczek.

— No, to na zdrowie!

Podniósł w górę szklankę.

Kranc wypił i popił kwasem. Zaleta przygotowywał sobie kanapkę z boczkiem.

— A jak pan Kranec myśli, kiedy się skończy wojna?

— W przyszłym roku.

— Tak wszyscy mówią. Ja to już przeżyłem wojen... Zara... Wziął mnie do ręki wojska w dziewięćdziesiątym ósmym, czy dziewięćdziesiątym pierwszym, czy dziewięćdziesiątym drugim roku... Potem była wojna chińska, w rok, czy dwa. Potem japońska pod Portem Artura. Potem znowu mnie powołali w czternastym roku... No, w dwudziestym już nie służyłem, ale za to podwoziłem my żołnierzy i amunicję pod sam front...

W tej chwili w szybę zapukały dwie małe dziewczynki. Kranec zerknął i zobaczył, że dwaj młodzieńcy z rowerami stoją po drugiej stronie toru.

— Nie otwieraj pan.

Zaleta obrócił nań zdumione oczy.

— Panie, to tak w handlu nie można.

— No, to daj im pan prędko.

— Proszę pana dwa lizaki — odezwał się cienki głosik.

Zaleta dał im po patyku zakończonym różowym płaskim cukierkiem w kształ-

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran

cie sporego krążka i zaraz opuścił oszkloną ramę.

— Teraz na drugą nogę, panie Kranec.

— Jazda!

— To pan tu za Żydami, za Żydami?

— Tę zarazę trzeba wytepić dla dobra ludzkości.

— Ale dzieci?

Zaleta pochylił głowę, ukrywając przebiegły błysk oczu.

— Jakie dzieci?

— No, dzieci żydowskie. Przecie by można je wychować w religii chrześcijańskiej.

— To nie pański interes. Co wyrocznie z małego żydziątka?.. Żyd! Nieprawda?

— No, niby prawda.

A Hitler powiedział, że nie ma być Żydów na świecie, Patrz pan!

Podsunał Zalecie pod nos swój pistolet maszynowy.

— Widzisz pan te paski na lufie i na kolbie?

— Te białe paski? Widzę.

— No, więc jest ich czterdzieści osiem.

Tyłu Żydów i żydowskich wojsków położyłem z tego rozpylacza. Dziś miałbym już pięćdziesiąt, ale mnie ubiegły te głupie pęta, co uważają się za żandarmów.

— Ho, ho!

W tej chwili za szybą zjawili się dwóch młodzieńców. Kranec położył pistolet na stole, nie wypuszczając go z ręki. Zaleta uchylił szyby.

— Czego?

— Butelkę kwasu. Tylko już!

Zdawali się być zajęci jakąś wesołą rozmową. Zaleta wysunął im dwie szklanki i butelkę, zamykając starannie szklaną kłapę.

Młodzieńcy pili, rozglądając się ciekawie na wszystkie strony. Zaleta podniósł butelkę z bimbrem i wstrząsnął nią pod światło.

— No, jeszcze zostało po kropelce.

Kranc machnął niecierpliwie ręką, ciągle obserwując pijących. Ci zaś wysączyli kwas i znowu zapukali w szybę.

— Panie starszy, jeszcze flaszkę!

Zaleta uniósł ramę i obrócił się do półki. W tej chwili oczy młodzieńców zabłyknęły dziko. Niewiadomo kiedy dwa wyloty sianej barwy pistoletów ukazały się w otworze. Zaleta krzyknął:

— Co robicie?

Ale było już za późno. Z wylotów zaczęły błyskać wystrzały. Duszny zapach sinawego dymku wypełnił budkę. Kranec chciał się zerwać, ale naraz opuścił głowę na złożone na stole ręce. Struga krwi zalała białe karby na jego pistolecie maszynowym. Potem skłonił powoli głowę na bok i zwałił się wolno na podłogę, zwinęty w pałąk.

XIII

Jeżeli, jak nieraz na kazaniach nauczał nasz zacny proboszcz, grzech jest nie tylko obrazą Boga, ale i nieszczęściem, ciągnącym nad grzesznikiem — to chyba największym grzechem jest zdrada własnego narodu, bo pociąga ona za sobą najdo-

tkliwsze kłeski, jakie tylko mogą spotkać człowieka na tej smutnej ziemi.

Zdradca odrzucił własną ojczyznę, ale już nigdy nie znajdzie innej. Imię jego zostaje przekleństwem wszędzie i na wieki.

Radziejowski oddał w swoim czasie Szwecji niewątpliwie ważne usługi, był też niby za to wynagrodzony szczytną i dobrobytem, ale nikt przecie dzisiaj w tejsze Szwecji nie wymowi imienia jego z wdzięcznością, czy uznaniem.

Targowiczanie wydali Katarzynę Wielkiej własny kraj i sami częściowo uznali się za Rosjan, nigdy przecie i żaden Rosjanin nie przyznał się do nich, jako do swoich rodaków.

Bo narody, zwalczając się wzajemnie, nieraz posługują się zdrajcami, nigdy jednak nie szczytają się tym, tak jak nikt nie będzie się chlubił, że zgładził swego wroga przy pomocy trucizny, czy fałszywego oskarżenia. Jadu, czy denuncjacji nie umieszcza się obok odziedziczonego po przodkach oręza.

Tak, zdrajca traci wszelki szacunek oraz ojczyznę i dlatego prędzej, czy później spotyka go najstraszniejsza dola na świecie: całkowite osamotnienie.

Doświadczył tego Franciszek Kłos, kiedy powrócił do przytomności, w ciemnej komórcie, stanowiącej tymczasowy areszt na posterunku żandarmerii. Było to jego najokropniejsze przebudzenie. Jak zwykle, ocknął się natychmiast całkowicie trzeźwy i świadomy swego położenia.

— „Jestem aresztowany. Schwick bił mnie po mordzie, a potem kopał z całej siły. Ale za co?..”

Trzy są zasadnicze cechy wszelkich ustrojów policyjnych: nadmiar rozporządzeń niewykonalnych, żeby każdy obywatel, na wszelki przypadek, musiał stać się przestępcą; zniesienie wszelkiego stopniowania kar: za najłżejsze przekroczenie — śmierć, przy czym w ustroju hitlerowskim za ciężkie przestępstwa uśmiercano szybko przez rozstrzelanie, za lekkie czekały długie męczarnie w obozach karnych, w przypadkach zaś niesłusznego podejrzenia — torturowano aż do skonu przy badaniach; trzecia zasada polega na tym, żeby więziony, czy skazany nie wiedział, o co go oskarżają, dlaczego go zabijają, czy nawet z jakiego powodu wypuszczają go na wolność.

Kłos znał to dobrze, był przekonany, że jest zgubiony i że zginie, nie dowiedziawszy się nawet, o co go oskarżają, mimo to nadzieja, ten tajemniczy, a jakże dobroczynny silnik ducha, gasnący dopiero wraz z ostatnim uderzeniem serca, zaczęła już pracować. „Co mi mogą zarzucić? Przecie nie kontakt z tajnymi organizacjami. Mam od nich wyrok śmierci, a oprócz tego nie rozstawałem się przez cały czas z Krancem. Musieliby więc i jego aresztować, a ten drań — widziałem — śmiał się jeszcze, jak mnie Schwick poniewierał. Więc może chodzi o jakie inne przestępstwo. Że brałem rzeczy po Zydach?.. No, to przecie i Kranec brał, i Schwick, i Szwtutke, i nawet sam pan

Nowy typ szkoły tańca

Znaną była przed wojną w Warszawie Szkoła Tańca Scenicznego Taczanny Wysockiej. Szkoła ta kształciła zawodowe tancerki. Balet Taczanny Wysockiej cieszył się ustaloną opinią, jako jeden z najlepszych tego typu, czego dowodem były jego liczne wyjazdy zagranicę i ogromne powodzenie w kraju.

Jako długoletnia uczennica Szkoły byłam ciekawa, jak w nowej siedzibie w Sosnowcu, bo tam wojenna zawierucha zapędziła Kierowniczkę — Szkoła zdołała odbudować swe podstawy.

Już sam budynek bardzo reprezentacyjny na ul. Żeromskiego budził ciekawość — to też po pierwszych powitaniach od razu posypały się z mej strony pytania, mające na celu zorientowanie się w obecnej sytuacji Szkoły. Pani Taczanna Wysocka ze swym niezmiernie miłym uśmiechem zaczęła mnie oprowadzać po gmachu, udzielając równocześnie wyczerpujących wyjaśnień.

Gmach Szkoły (dawny pałac Dietla) — urządzony z ogromnym typowo niemieckim przepychem, którego ogólne zarysy jeszcze teraz można zobaczyć — został przyznany Szkole przez Wydział Kultury i Sztuki, w stonie ogromnego zaniedbania, wobec nieużytkowania go przez czas dłuższy. Subsydji na remont Szko-

ła nie uzyskała, pomimo obietnic, to też najbardziej gospodarczym sposobem włącznie z użyciem sił personelu, doprowadzono go do stanu używalności, otwarto wodę i uruchomiono centralne ogrzewanie. Pałac, mający wszystkie warunki, odpowiadające swemu obecnemu celowi, mieści Szkołę i internat dla uczennic, które prócz nauki czysto zawodowej mają możliwość kształcenia się ogólnego, pobierania lekcji języków obcych, muzyki itp.

Tak szeroki zakres zainteresowań ma na celu pogłębienie wiedzy tancerek, które w naszym społeczeństwie cieszą się sławą osób mających cały zasób wiedzy... w nogach. Nie potrzebuje pisać o metodach nauki, która ma swoją ustaloną opinią, a muszę zwrócić szczególną uwagę na kwestię, o której długo dyskutowałam z Dyrektorką Szkoły.

Nikt nie zaprzeczy, że taniec jest sztuką, ale przeważnie uważa się go za sztukę, że tak powiem niższego rzędu — i choć lubiany i ceniony przez ogół — nie jest traktowany z należytą powagą. Może wpływa to z faktu, że wielokrotnie siły pedagogiczne i uczennice nie posiadały odpowiedniego stopnia wykształcenia ogólnego i poziomu moralnego, koniecznego do uprawiania sztuki przez duże S.

Szkoła obecnie zdecydowanie zmienia

ciszka Kłosa (9)

Powieść z roku 1943.

lejtnant Aschel. Więc nie o to. Naraz przypomniało mu się, że już dawno, może rok temu, niedługo po wywiezieniu Żydów z Brodni, spotkał w restauracji Chomińskiego jakiegoś Żyda (nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć jego nazwiska) i że go wypuścił za łapówkę. „Ale kto mógł o tym donieść? Chyba tylko ten sam Żyd, albo Chomiński. Prawda, przecie właśnie Chomiński teraz siedzi. To on! Oh, żeby jeszcze pożyć parę dni na wolności! Żeby dostać w swoje ręce tego bydlaka donosiciela! Oh, jednego tylko pragnę jeszcze na tym świecie!”

Zgrzytnął zębami i poczuł ból. „Prawda, dostałem po mordzie od Schwicka. Pewnie mam wszystkie zęby powybijane”.

Zaczął wypluwać zagęstłą krew. Wargi miał nabrzmiałe i pokryte strupami. Macał językiem zęby. Siedzą. „Może mam przetrąconą szczękę... Bo ból trwał ciągle. Myślał o wymacaniu twarzy ręką, ale bał się każdego ruchu.

„Na pewno czeka mnie śmierć. Ale będzie to przynajmniej śmierć nagła i bezbolesna. Kula w tył czaszki i już. Nie ma obawy, żeby mnie badali, bili, męczyli. Bo i po co? Nie mają niczego ode mnie do wyciągnięcia”.

Ale naraz uprzytomnił sobie, że do usmiercenia go użyją napewno Kranca z jego rozpylaczem.

Przeraził go ból wszystkich kości przeniknął go na wyobrażenie niedawnego przyjaciela, jak z oblesnym uśmiechem, który mu odsłonił ten jego przeklęty złoty ząbek, będzie go mordował. Było to tak upokarzające, że wolałby najdroższe mężczyźnie.

„Żeby się tak przedtem powiesić... Próbował się dźwignąć, ale poczuł silny ból w krzyżu i w żebrach. Opadł z powrotem bezwładny. Serce waliło mu tak silnie, że jego bicie odczuwał jako bolesne uderzenia tętna w głowie, dłoniach i stopach. Był to ból nieznośny. Zdawało mu się, że mu żyły pękają.

„Widocznie Schwick połamał mi żebra i uszkodził kręgosłup. Czy tak, czy tak umrę”. I naraz chwyciło go przerażenie na myśl o śmierci. Tętna waliły coraz silniej i coraz bardziej bolesnie. „Żeby tak zdołać być choć kropelkę wódki, to może by zniknął przynajmniej ten piekielny strach”.

Zdawało mu się, że ktoś poruszył się nad nim na pryczy, sam bowiem leżał na podłodze.

Zerwał się i usiadł.

— Jest tu kto?

— Jest.

— A nie masz trochę gołdy?

Sam czuł nieprawdopodobną głupotę takiego pytania. W jaki sposób mógłby się znaleźć w areszcie więźniów nieobrewidowanych? Łatwiej by przecie było przemyścić pistolet, albo chociażby nóż, niż butelkę? Ale jakaś resztką nadziei w nieprawdopodobny cud kazała mu postawić to pytanie.

Nastąpiło milczenie. Sąsiad na pryczy poruszył się i westchnął, czy chrząknął.

kierunek. Mając możliwość bezpośredniego oddziaływania na uczennice, będące w internacie — główną troską Kierownictwa Szkoły jest wytworzenie pełnowartościowej jednostki społecznej, przez pogłębienie wychowania religijnego (choć to może się niejednemu wydawać dziwne), przez wprowadzanie uczennic we wszystkie dziedziny życia społecznego od powiednia lekturą, a prócz tego uzielenie jak najdalej idącego wykształcenia fachowego. Szkoła prosperuje dobrze dzięki ogromnemu wkładowi pracy personelu (głównie Kierowniczki); posiadając minimalne subsydia państwowe, stanowiące mały procent budżetu miesięcznego i dużą ilość uczennic bezpłatnych, odznaczających się zdecydowanym talentem, wymaga od uczennic dużego wysiłku i intensywności pracy.

Dążeniem Kierowniczki jest wykształcenie zespołu tanecznego, który mógłby reprezentować wszystkie rodzaje tańca i zapewnienie mu takich podstaw materialnych, by każdy członek zespołu mógł żyć ze swej pracy, nie uciekając po uzyskaniu szczytowej formy na deski dancngów, gdzie w obecnych warunkach ma dopiero możliwości utrzymania.

Patrząc na tak szerokie, a w założeniu swym celowe dążenia Szkoły, należy życzyć jej jak najlepszego rozwoju i przypuszczać, że może właśnie dzięki tego rodzaju metodom wzrosnąć u nas poważa-

— A ty skąd się tu wzięłaś? — zapytał wreszcie ochrypłym głosem.

— Skąd?

— Tak, coś za jeden?

— Aresztowany jak i ty.

— Ale jak się nazywaś?

— Kłosa.

— Kłosa?

Przyca zaskrzypiała, jakby nieznajomy usiadł na niej gwałtownie. W głosie jego czuć było niezmiernie zdumienie.

— Ten Kłosa z granatowej policji?

— Nie o to chodzi. Nie masz się czego napić?

Kłosa spostrzegł się, że niepotrzebnie wyjawiał swoje nazwisko.

Przyca znowu skrzypnęła, jakby się kto na niej położył... I znowu dało się słyszeć chrząknięcie, czy jęk.

— Nie masz?

Milczenie.

Kłosa ogarnęło naraz przerażenie gorsze jeszcze, niż poprzednio. Serce i tętna znowu zaczęły walić bolesnie. „Po co ja, frajer, wydałem się, kto jestem? Przecie to musi być ktoś z organizacji? Może nawet jeden z tych, co mają rozkaz mnie zabić. Coraz bardziej utwierdzał się w tym mniemaniu. „Dlaczego tak zamilkił, jak usłyszał moje nazwisko?”

Zaczął teraz z zamartwym sercem przysłuchiwać się każdemu szelestowi na pryczy. „Rozmyśla, jak mnie wykończyć. Co ma taki do stracenia? Czy tak, czy tak go rozwała, a nawet, jeśli chodzi o mnie, to nie będą mieli żadnej pretensji”.

Pod tym względem miał rację. Niemcy nigdy nie prowadzili najśrobszych docho- dzień w razie zamordowania więźnia, nawet gdyby to był ich zausznik. W ob- zaszach karnych stale zabijano t. zw. kapo, czasami nawet masowo. Spotykało się to zawsze z całkowitą obojętnością władz. Kto jest uwięziony, ten jest tym samym skazany na śmierć — innej kary przecie nie było — a w jaki sposób zginie, to już nie miało najmniejszego znaczenia. Kłosa więc z tym większą uwagą chwycił uchem wszelkie poruszenia sąsiada. Naj- gorsze, że czuł się tak zbity i słaby, że nie mógł się poruszyć.

„W razie czego, nie będę miał siły się bronić. Ale on napewno czeka, aż zasną, potem ogłuszy mnie chociażby butem, czy jaką deską i dodusi”.

Snuł w ten sposób wszelkiego rodzaju przewidywania i możliwości, leżąc z otwartymi oczami, czujny i baczny na wszystko. Tymczasem nieznajomy zaczął chrapać.

„Udaje. Chce mnie w ten sposób uspokoić i uspić”. Postanowił nie dać się zaskoczyć. To oczekiwanie walki podnie- cało go. Ustał ból nerwów oraz nierów- na praca serca. Ustępowało nawet osła- bienie.

Tymczasem współwięźniów chrapał w dalszym ciągu. Po jakich chyba dwóch godzinach Kłosa zaczął powątpiewać, czy jest to rzeczywiście udawanie. Zamknął wreszcie oczy. I oto znowu, jak zwykle, otaczająca go ciemność zniknęła, a otwo- rzyła się otchłań, jakby dna oceanu. Otchłań, z której wyłaniały się na kształt potworów głębinowych jakieś blade po- czwary o niewidzialnych kształtach i o ry- sach ludzkich, wykrzywionych potwornie. Zbliżyły się do Kłosa i przypatrywały mu się, robiąc coraz wstrętniejsze gryma- sy, a potem odpływały w głąb, ustępu- jąc miejsca innym. Kłosa patrzył na nie, skamieniały od zgrozy, a raczej niezna- nej mu dotychczas ohydy. Chwilami od- mykał oczy. Wtedy mary znikły natych- miast. Zmęczone powieki opadały mu je- dnak same. Wreszcie zjawy zaczęły przy- bierać bardziej ludzkie postacie. W pe- wnej chwili Kłosa zauważył, że znajduje się pośrodku obszernej, ale bardzo brud- nej sali tanecznej. Wokół niego wiro- wały pary wolno i bezszeptnie. W pe- wnej chwili rozsunęły się na boki i zni- kły. Natomiast ni stąd, ni zowąd, pojawił

Potwierdzamy wpłaty na fundusz prasowy
„D Z I S I J U T R O”
1. Papcio 1000.—
2. Muro 1000.—

nie dla sztuki tanecznej i osiągnie ten poziom, jaki ma w innych krajach.

Januta Dobraczyńska

się korowód dzieci, chłopców i małych dziewczyn, które otoczyły go, trzymając się za ręce. Kłosa przyglądał się im z założonymi w tył rękami. Nagle poczuł silny ból w lewej dłoni. Szybko się obejrzał i zobaczył dziecko, wyglądające za- ledwie na parę lat, które go kąsało za rękę. Kłosa chwycił je za kark i uniósł w górę. Potworek miał twarzyczkę złośliwie u- śmiechniętego idioty. Skręcał się w gar- ści, jak schwytna łasica i koniecznie chciał kąsać w dalszym ciągu. Jedną z tańczących niedawno młodych kobiet po- deszła z przestachem na twarzy.

— Panie Kłosa, niech pan się strzeże, bo ona panu całą rękę odgryzie.

Przerażony zaczął z całej siły ścisnąć szyjkę złośliwej istotki, aż wreszcie zwi- sła, najwidoczniej martwa. Wtedy prze- konał się, że jest to mała Wandzia od cioci Sroki. Usiłował więc ukryć trupka za sobą i zaczął się cofać tyłem w kąt, gdzie leżały jakieś rupiecie: pudełka, gał- gany, puste butelki. Udało mu się cisnąć tam niespostrzeżenie uduszoną dziewczyn- kę, gdy wtem ktoś mu krzyknął groźnie w samo ucho:

— Franek!

Podskoczył z przerażenia na podłogę, jak wyłowiony szczupak. Serce i tętna waliły mu jak młotem. Odrazu zoriento- wał się, co się stało. Poznał bowiem ten głos. Był to głos jego ojca. A więc jego towarzyszem w areszcie był jego ojciec. Prawda, został przecie nie tak dawno u- więziony.

Nasłuchiwał z zapartym oddechem, ale usłyszał tylko równe chrapanie. „Czyżby mi się tylko śniło?”. Coraz bardziej upe- wniał się w tym mniemaniu. Wtem poc- czuł rękę, giadzącą go po twarzy. Odruchowo machnął na odlew całym ramie- niem, ale trafił w próżnię.

„Co to mogło być? Przecie to mi się już chyba śniło?... Czuję wyraźnie...”

Leżał zmartwiał i czekał na coś jeszcze bardziej przerażającego.

Inna dłoń objęła mu silnie lewą nogę w kostce. Kopnął w powietrze z całej siły i usiadł błyskawicznie. Serce nie biło mu już, tylko dygotało jak puszczonej w ruch silnik samochodowy. Sam również dygo- tał w takt serca.

„Może to tylko szczyry...”

Czekał i czekał, czy nie uczuje znowu jakiego dotknięcia, albo nie usłyszy chro- botania, ale naprzóżno. W uszach mu tyl- ko szumiało bezustannie. „Żeby się jesz- cze trochę przespać, to by mnie może minęło”. Z trudem odwrócił się twarzą do podłogi i zamknął ponownie oczy. Dłu- go mocował się z widziadłami i budzoną przez nie ohydą. Wreszcie zaczął zapadać w półsen, gdy wtem ktoś szepnął mu mocno w same usta:

— Nie rusz się!

Zmartwiał jak dotknięty nogą robak. Leżał teraz w zupełnym bezruchu, zrezy- gnowany, w oczekiwaniu jakiejś grozy, o jakiej nikt z żyjących nie miał dotąd najłżejszego wyobrażenia. Zdawało mu się chwilami, że umrze z samego lęku. Pragnął nawet tego. Ale śmierć nie nad- chodziła. Natomiast lęk jego tak się wzma- gał, że z trudnością wstrzymywał się od krzyku o pomoc. Ale kłóży mu przy- był na ratunek, wszyscy przecie, zarówno Polacy, jak Niemcy, uznali go za jednost- kę szkodliwą i postanowili go zgładzić. To znowu nasuwało mu ohydny w swym najgłębszym upokorzeniu obraz, jak u- śmiechnięty złośliwie Kranc będzie go za- bijał. „Taki bydlak ma mnie zaszlachtow- ać, jak prosiaka? I jeszcze się potem chwalić?...”

Męka jego doszła do granic wytrzyma- łości. Żeby nie krzyknąć, jęczał szeptem: — Ratunku, ratunku! Miejcie trochę litości nade mną!

Powtarzał to w kółko, szukając w my- śli, czy jest na świecie istota, która by mogła w tej chwili mu cokolwiek pomóc. Chyba jeden Bóg.

Zaczął się więc modlić rozpaczliwie, przyciskając obie pięści do piersi, żeby powstrzymać wzrastającą żądzę wydrapa- nia sobie oczu.

— Panie Boże! Panie Boże! Panie Boże! Mówią, żeś jest wszechmocny. Mówią, żeś jest Miłosierdziem bez granic. Zlituj się nade mną! Daj mi choć jedną chwilę wy- tchnienia! Przecie nie jestem jeszcze w piekle. Przecie mogę się jeszcze poprawić. Chcę się poprawić!

Przerwały mu odgłosy silnych kroków kilku ludzi za drzwiami. Zamarł znowu. „Po mnie!”

Tydzień kulturalny

EGZYSTENCJONALIZM

REDAKCJE „Tygodnika Warszawskie go” po ks. Kaczyńskim objął Jerzy Braun. Odbiło się to od razu na piśmie — słaby bardzo ostatnimi czasy „Tygodnik” nabiera rozmachu. W Nr 5 znaj- dujemy ciekawy artykuł ks. Michała Pa- radowskiego, omawiający bardzo szczegó- łowo egzystencjonalizm typu sartrow- skiego.

A propos egzystencjonalizmu. Już raz rzucaliśmy tę myśl, aby spróbować okre- ślić o ile egzystencjonalizm panuje także i w naszej literaturze. Zgrubsza biorąc mianem egzystencjonalizmu należało by nazwać prąd wyrażający przewagę czyn- ników życia i egzystencji ludzkiej nad doktryną czy ideą, przewagę doświadcz- nia i praktyki nad teorią, przewagę wia- domości o człowieku nad wiadomościami o świecie ogólnie i ponad ludzkim — o tym, co jest na „rynku” i ponad rynkiem.

Otóż niewątpliwie nasza literatura współczesna — mimo ciągłych apelów Żółkiewskiego — jest literaturą jednostki, doświadczenia i egzystencji. Dygat, An- drzejewski, czy Breza, gubią się w zbło- rowości, nie umieją — lub nie próbują wysunąć tezy, problemu, idei — nato- miast odtwarzają jednostkę bądź jednost- ki. Z tym wszystkim żyjemy więc jednak w kręgu egzystencjonalizmu. Nie mamy natomiast uczucia, aby stanowisko „egzy- stencjonalne” podzielali czytelnicy. Mi- mo zmęczenia wojną, czytelnik polski szu- ka nieustannie czegoś więcej, niż same życie...

STRZAŁY JASZCZE

ZNANY ze swych niefortunnych wy- stąpień p. Jaszcz stara się wciąż za- atakować Majdańskiego. Dorwawszy się do wystąpienia „Polski Zbrojnej” — po- wtarza, prawdopodobnie nie czytając na- wet artykułu Majdańskiego — tezę o rze- komym „zbesczeszczeniu” oficera pol- skiego. Ponieważ Majdański, pisząc w swym felietonie o oficerze, pisał o ofice- rze przedwojennym, p. Jaszcz urasta do roli obrońcy oficerów doby sanacyjnej. Można i tak. Dobrze by było, aby Jaszcz pokonferował sobie na ten temat np. z p. Rudnickim...

P. Jaszcz twierdzi, iż nie dlatego ата- kuje Majdańskiego, że nie docenia wagi sprawy przyrostu naturalnego w kraju, ale dlatego, że Majdański jest grafoma- nem. Opinia p. Jaszcz jest niesłychanie cenna à rebours... Słusznie zwrócił na to uwagę Kisielewski, że źle jest, gdy się jest chwalonym przez Jaszcz. Człowiek nazwany przez Jaszcz grafomanem, mo- że sobie pogratulować. To też książki Majdańskiego są czytane przez tysiące, artykuły p. Jaszcz... miejmy nadzieję, że mają czytelników.

Żarty żartami, ale jak się ma stosunek p. Jaszcz do spraw populacyjnych? Po ostatnim wystąpieniu czekaliśmy conaj- mniej na sążnisty artykuł. A tu nic! Sprawa ważna — a p. Jaszcz nic! Dosło- wnie nic! Zaś o piętro niżej L. Szczepań- ski pisze i pisze...

SKROMNOŚĆ

WOSTATNIEJ „Kuźnicy” mamy fe- lieton p. K. Brandysa. Naczelny prozaik „Kuźnicy” pisze: „Stefan Żół- kiewski... ma niewątpliwie skromność. Ma również skromność, gdy pisze...”. I tu na- stępują cytata, w której wymienia się sze- reg utworów literackich, m. in. „Brandy- sa — Miasto niepokonane i Drewniany koń” z uwagą (ciągle Żółkiewskiego): „Lista ta zawiera większość artystycznie cennych, przodujących pozycji biblio- graficznych naszego dwulecia...”

Skromność autora artykułu do poza- zdroszczenia!

K. I. GAŁCZYŃSKI

WIERSZE

Wyd. Oficyny Księgarskiej

Kazimierz Jaźwiecki

Praktyka terażniejszości

Z przyjemnością przeczytałem kiedyś artykuł Mieczysława Markowskiego p. t. „Punkt wyjścia” („Dziś i Jutro” Nr 45/51 z dnia 17 listopada 1946 r.), traktujący o zagadnieniach zespolenia ludności Ziemi Odzyskanych w jedną zwartą całość umysłową, kulturalną i narodową. Po wnikliwym i trafnym scharakteryzowaniu różnic, dzielących autochtonów i osadników, autor zastanawia się nad tym, co łączy, a raczej co powinno łączyć mieszkańców Ziemi Odzyskanych i pisze:

„Od czego zacząć akcję zespolenia? Na dnie duszy najbardziej nawet rozgoryczonych, autochtona i repatrianta, dwie drzemią wartości, których umiejętne wydobycie może stworzyć bazę do zlikwidowania nieporozumień. Dodajmy odrazu, że w akcji wydobywania uspijonych wartości, możemy tylko pomóc — nawet bez naszego udziału nastąpi ich ujawnienie się. Nie znaczący to wcale, osadnicy tędy czekali cierpliwie, a bezczynnie na ten szczęśliwy moment — możemy i powinniśmy w umiejętny sposób przyspieszyć proces”.

W dalszym ciągu swoich teoretycznych rozważań autor dochodzi do wniosku, że „niwelacja uprzedzeń i nieporozumień nastąpi dzięki wspólnej wierze i patriotyzmowi”. Szusnie! Lecz w ten sposób pojęta niwelacja mogłaby trwać lata całe i na właściwą i pełną unifikację duchową społeczeństwa polskiego na wrocławskich terenach moglibyśmy długo czekać. A nam przecież chodzi o to, aby procesy te przyspieszyć, na co również zgadza się autor wspomnianego na wstępie artykułu. Nam chodzi o jak najszybsze wytworzenie z tego konglomeratu jednolitego i zwartego społeczeństwa, związanego nierozdzielnie z całym narodem polskim. Nie chodzi o to, aby to społeczeństwo było jak najkrócej zdolne nie tylko czerpać ze skarbnicy polskiej kultury, ale wnieść do niej nowe nie przemijające wartości. Do tego dążyć winniśmy wszystkimi dostępnymi nam drogami.

Jest rzeczą niepodlegającą dyskusji, zwłaszcza dla tego, kto zna życie na Ziemiach Odzyskanych, że Kościół Katolicki jest potężnym czynnikiem łączącym i wychowawczym. Mamy zresztą w naszej historii narodowej namacalne dowody, że Kościół i duchowieństwo w pierwszej linii przeciwstawiali się akcji np. germanizacyjnej podczas stuletniej okupacji, zwłaszcza w b. zaborze pruskim. Niewątpliwie też Kościół na Ziemiach Odzyskanych odegra wielką rolę wychowawczą i unifikacyjną w dziedzinie duchowej, ale ta praca utrwalac się będzie stopniowo i powoli.

Szkola polska na wszystkich szczeblach ukształtuje charakter młodego pokolenia, które po dojściu do pełnoletności stanowić będzie już jednolitą kulturalnie masę społeczno-narodową. Lecz znowuż potrzeba na to kilkunastu lat, zanim zbierac będziemy z tej niwy plony. Polska racja stanu zaś wymaga, aby już obecnie społeczeństwo tych ziem wyżyło się wszelkiego rodzaju antagonizmów i nieporozumień.

Aby tego dokonać, aby proces unifikacji przyspieszyć, musi tu wkroczyć samo społeczeństwo przez powołanie do tego celu swoje własne organizacje. Celem zaś takich organizacji winno być: repolonizacja i zespolenie! Nie zapominajmy, że na odzyskanych terenach zachodniej Polski mieszka i mieszkać będzie milion ludności mieszkawej, autochtonicznej, od wieków tęskniacej o powrocie na łono Macierzy. Ludność ta nie zawsze i nie wszędzie posiada pełną świadomość narodową i na tym tle powstają rozdziewki pomiędzy nią a repatriantami, czy osadnikami. Zresztą i wśród nowych osadników spotykamy wiele jednostek o słabej świadomości narodowej. Gdy do tego dodamy nieznaną im historię, czy przeszłość o ziemach nadodrzańskich, nadbałtyckich i śląskich, nieznaną im zagadnienie ludnościowych tych ziem, ujrzymy źródło, z którego wypływają antagonizmy i rozdziewki. Poglębiają się one jeszcze obecnie przez niemożność wyzycia się towarzyskiego na gruncie neutralnym — poza Kościołem i szkołą. Znajac życie, wiemy, że młodzież pozaszkolna i dorośli żyją w sobie po części w karczmach i restauracjach.

Stwierdzić musimy, że pijanstwo na naszym zachodzie szerzy się w zastraszający sposób. Dane z jednego 18-to tysięcznego miasta (Piła) wskazują, iż przepija ono miesięcznie 8 milionów złotych. Takie obroty wykazuje Monopol Spirytusowy, a ile idzie ponadto samogonu? Obraz naprawdę zastraszający! Takie wyżywianie się w knajpach nie tylko, że zaprzecza ideom zespoleniowym, ale stwarza wiele nowych powodów do kłótni i sporów.

Ażeby tym wszystkim zgubnym skutkom zapobiec i osiągnąć cel ogólnonarodowy, trzeba obok Kościoła i szkoły stworzyć coś, co wyruguje z życia społecznego restaurację: alkohol, trzeba stworzyć świątynie kultury i oświaty, godziwej rozrywki i zabawy, wzajemnego poznania i zespolenia się.

Jedną z organizacji, która kroczy na czele dążących do stworzenia platformy konsolidacji społeczeństwa ziem zachodnich, jest Polski Związek Zachodni, obchodzący obecnie 25-lecie swego istnienia. Organizacja, mająca ongiś za zadanie umacnianie polskości na ziemiach, obecnie tak szczęśliwie odzyskanych, postawiła sobie dziś — wobec zmienionych warunków — za cel repolonizację, odbudowę polskiego życia kulturalnego i społecznego oraz zespolenia w jedno ognisko ludności tam zamieszkałej.

Stwierdziwszy jeszcze w 1945 r. istnienie antagonizmów i nieufności, najpierw Okręg Poznański P. Z. Z. na Ziemi Lubuskiej przystąpił do organizacji Domów Społecznych, mających się stać ogniskami kultury polskiej i terenem konsolidacji oraz wzajemnego zrozumienia się ludności ze wszystkich stron Polski. Prawie półtoraroczna cicha i bez rozgłosu działalność tych instytucji wydała obfite owoce. Na 14 powiatów starej Ziemi Lubuskiej istnieje w tej chwili 26 Domów Społecznych, a dalsze są w toku organizacji. Dąży się do stworzenia takich ośrodków oświatowo-kulturalnych we wszystkich miastach, miasteczkach, gminach i gromadach. I nie sądzmy, że Dom Społeczny jest tylko pustym dźwiękiem. Zawiera on

w sobie przebogata treść i przejawia wszechstronną działalność.

Abstrahując od omawiania teoretycznych założeń statutowych Domów Społecznych, chcemy na tym miejscu wskazać na praktyczne doświadczenia i ich wyniki. Przede wszystkim przez stworzenie tych ośrodków odbudowano z gruzów za pomocą funduszy społecznych, zebranych drogą składek członkowskich P. Z. Z., kilkanaście budynków, a więc moment natury gospodarczej. W każdym takim „Domu” istnieją biblioteki i wypożyczalnie książek, z których korzystało w r. 1946 przeszło 16 tysięcy osób obojga płci. Czytelnie książek i czasopism — grupujące każdego wieczoru po 50 do 100 osób w domach miejskich i 20 — 30 osób w domach wiejskich. Polski Związek Zachodni utrzymuje dalej w tych ośrodkach wszelkiego rodzaju kółka muzyczne, śpiewacze, fotograficzne, sceniczne, organizuje kursy sanitarne, handlowe, korespondencyjne, pisanie na maszynie, szycia, kroju i robót kobiecych, ogólnokształcące kursy dla dorosłych i młodzieży pozaszkolnej, wykłady codzienne z historii polskiej i powszechnej, oraz z historii literatury, wieczory dyskusyjne na temat zagadnień religijnych, gospodarczych, społecznych, prawnych itp. Ponadto w Domach tych urządził się specjalne kursy języka polskiego i historii dla ludności autochtonicznej. Dla młodzieży pozaszkolnej otwarta jest codziennie bogato zaopieczona świetlica. Jednym słowem, instytucja Domów Społecznych jest pozytywnym czynnikiem, łączącym mieszkańców naszych Ziemi Odzyskanych w pracy dla Państwa i Narodu Polskiego. I jeżeli idea przewodnią tych instytucji nie zostanie spaczona, to śmiało rzecz można, że w praktyce doprowadzi do przyspieszenia tych procesów asymilacyjnych, które tkwią w duszach mieszkańców Ziemi Zachodnich, oraz zlikwiduje szybciej niż myślimy uprzedzenia i nieporozumienia.

Taka jest praktyka terażniejszości na odzyskanych terenach, praktyka zgodna z założeniami teoretycznymi państwa i spo-

łeczeństwa, działaczy terenowych i prasy i publicystów.

Te wyliczone wyżej wszechstronne kursy grupują ludzi ze wszystkich sfer społecznych i ze wszystkich środowisk, nastawionych do siebie niejednokrotnie wręcz wrogo. Tam w umiejętnie prowadzonych dyskusjach ścierają się poglądy, a przez to wyjaśniają się i nabierają właściwego obrazu wszystkie fałszywe uprzedzenia i plotki. Tam repatriant i osadnik poznaje bezpośrednio, że autochton, to nie żaden Niemiec — jak mu to ktoś podsunął — lecz taki sam Polak, jak i wszyscy, mówiący tylko nieco odmiennym akcentem, wytworzonym w twardej rzeczywistości i walce o ducha polskiego. Repatriant, czy osadnik na podstawie rozmów dowiadywa się, że Polacy — autochtoni dłużej musieli walczyć z falą germanizmu, niż ludność innych dzielnic Polski. Przekonuje się, że ta twarda walka trwała całe wieki i że polska ludność tubylcza mocą swej słuszności wytrzymała i wygrała.

Z drugiej strony Polak — autochton przekonuje się, że repatrianci z za Bugu i osadnicy z Polski Centralnej, to nie intruzy, ale swojacy, myślący i mówiący po polsku, którzy przyszlizli na Ziemi Odzyskanej nie poto, żeby rugować swego brata — autochtona z majątku, czy ograbiac z mienia, ale poto, by obok niego zająć miejsce po zbiegłych intruzach — Niemcach i budować Polskę na jej odwiecznych ziemiach. To są szczegóły, co do których porozumiewają się z łatwością mieszkańcy Ziemi Odzyskanych w Domach Społecznych, przy okazji różnych kursów i wieczorów dyskusyjnych. Gdy do tego dodamy liczne zaobserwowane fakty kojarzenia się małżeństw, to nabieramy przekonania, że na tej platformie łatwo depomonżony odbywającym się procesom i szybko dojdziemy do zespolenia ludności Ziemi Odzyskanych.

Nie tedy dziwnego, że akcja ta tak skutecznie przeprowadzona przez Okręg Poznański P. Z. Z. została rozszerzona uchwałą Zarządu Głównego na cały teren Ministerstwa Ziemi Odzyskanych za twierdziło przedłożony statut. Należy sobie życzyć, aby dała ona tak pozytywne wyniki wszędzie, jakie dała na odcinku Ziemi Lubuskiej.

Jadwiga Piotrowska

Dzieci żebrzące w czasie okupacji

„Dnia pierwszego września, roku pamiętnego, wróg napadł na Polskę z kraju pobliskiego, miasta poburzone, domy popalone — gdzie się mająm schronić ludzie poranione?...”

Ponad zgiełk zmieszanych hałasów ulicy wyrwa się dźwięk śpiewanej piosenki. Od przekrzykiwania ulicznego gwaru, schrypięte głosy dziecięce wykrzykują raczej, niż śpiewają, smętną melodię, wzruszające słowa pieśni.

Pełno ich wszędzie, tych małych śpiewających — żebraków. W natłoczonym wamwaju brzmi buńczuczny głosik:

Siekiera, motyka, bimber, alasz, przegrał wojnę głupi malarz.

Na pomoście wyrasta zielony mundur żandarma, ktoś ostrzega malca:

— Te, Kiepuru, przymknij się!...

Na małą chwilę milknie śpiewka, by prawie natychmiast w drugim końcu wagonu wytrząsnąć przekornie:

Siekiera, motyka, lipa, dąb, Szkozy wkrótce pójda stąd!

Warszawa lat wojny pełna jest żebrzących dzieciaków. Stały się one nieodłączną częścią miasta, wyrazem wciąż postępującej nędzy ludności.

Łapanki utrudniają żebranie dorosłym, na ulicę wysyła się więc dzieci.

W miarę lat wojny wzmagają się nędza, w ślad za nią wzrasta żebractwo dzieci, sięgając niespotykanych dotychczas rozmiarów.

Dyrektor warszawskiej Schutzpolizei Bethke jest zirytowany, wezwawszy ówczesnego dyrektora Wydziału Opieki Społecznej m. W-owy, Jana Starczewskiego, oświadcza krótko:

„To jest oczywisty skandal, żeby żebrzące dzieci zaczęły przechodzić na ulicach Warszawy! Żebraków tych widać coraz więcej i stają się oni coraz bardziej bezczelni. Postanowiliśmy położyć temu kres! Organa policji otrzymują polecenie zatrzymania wszystkich żebrzących dzieci w Warszawie”.

A więc groźba jeszcze jednego ciosu ze strony okupanta, tym razem cios wymierzony w dzieci, najuboższe, nieszczęśliwe dzieci Warszawy.

Tak, to prawda, że coraz ich więcej, żebrzących, śpiewających, pukających do

mieszkań, wciśniętych milcząc w węgly domów lub siedzących całym gromadkami na stopniach sklepów, na ruinach zwalonych domów. Nie odstrasza ich mróz, ani słoty, przecież na ich zarobki czekają całe ich rodziny.

Obecni barbarzyńcy mogą się wydawać bezczelni ci malcy, nikt przecież tak jak oni nie potrafił pod samym okiem żandarmów wygrywać patriotycznych piosenek, nagle zniknąć, zmieszać się z tłumem, by ni stąd ni z owąd zagwizdać tuż za plecami grubego żandarma, przewrany refren.

Jak ratować tę małą biedotę od wiszącego nad nią ciosu? Jedyńy sposób w takim wypadku, walczyć z okupantem jego własną metodą: podstępem. Wydział Op. Sp. układa plan działania. Naturalnie nie można go otwarcie przedstawiać Niemcom. Dyrektor Wydziału przeprowadza z dyr. Schutzpolizei Bethkem następującą rozmowę:

„Pozwoli pan, dyrektorze, opowiedzieć przebieg rozmowy z małym żebrakiem, jaką miałem niedawno. Była ona interesująca w związku z poruszanym ostatnio problemem. Przed kilkoma dniami podszedł do mnie na dworcu kolejowym mały chłopiec, prosząc o datek. Był to już wieczer. Zaciekawilo mnie, ile mógł chłopiec zbierać w ciągu dnia. Powiedziałem chłopcu — oblicz, ile masz pieniędzy, a ja ci dodam tyle, żebyś miał okrągłą sumę złotych. Chłopiec zgodził się i skwapliwie zaczął opróżniać wszystkie kieszenie. Po obliczeniu okazało się, że ma 7 zł. i 20 gr., jak mi pan da 80 gr., to będę miał 8 zł. Oczywiście wywiązałem się z przyjętego zobowiązania. Chłopiec był uradowany i chętnie gawędził dalej: Ma siedem lat, matka chora na gruźlicę, w domu jest jeszcze dwoje młodszych — trzyletnie dziewczyna i pięcioletni brat”.

„A ojciec, co robi ojciec? — pytał Bethke.

„Ojciec jest w obozie koncentracyjnym”.

„Czy pan to sprawdził, że chłopiec mówi prawdę?”

„Tak, sprawdziłem, wszystko okazało się prawdą. Otóż pozwolił sobie zapytać pana dyrektora, czy zamierzone przez pana zarządzenia będą celowe. Wszak chłopiec jest w tej chwili jedynym żywym

ciem rodzinny. Jego 8 zł. jest podstawą bytu czterech osób. Jeżeli chłopca zaaresztujemy, co zrobi rodzina?”

Proszę nie sądzić, że zamierzam tolerować żebractwo dzieci, trzeba je zwalczyć, ale chcąc je zwalczyć skutecznie, należało by zagadnienie to zbadać. Przed wojną żebractwo dzieci w Warszawie było zjawiskiem sporadycznym. W międzyczasie zmieniły się tak bardzo warunki bytowania ludności. Proponuję zatem: Wydział Op. Sp. przeprowadzi odpowiednie badania dzieci i ich rodzin. Należało by w tym celu urządzić obławę, aby zatrzymać pewną ilość dzieci”.

Bethke zgodził się — będzie obława — a to przecież najważniejsze.

„Dobrze — powiedział — otrzymacie do dyspozycji niemieckie auta policyjne z obsługą Schupo”.

A to kłopotliwa oferta!

„Jestem bardzo wdzięczny panu dyrektorowi, ale poczuwam się do obowiązku zwrócenia uwagi pana dyrektora na pewne niebezpieczeństwo. Dzieci mogą być zawsze, ze środowisk o możliwościach stykania się z zakaźnymi chorobami. Myślę, że miejskie karetki sanitarne będą odpowiedniejsze, a asysta policji polskiej powinna wystarczyć”.

Bethke, obawiając się narazić swych żandarmów na zetknięcie się z możliwością zarażenia, zgodził się chętnie, wydając natychmiast odpowiednie zarządzenia granatowej policji.

Wydział Op. Sp. przystąpił do pracy. Powołano ekipę spośród najbardziej doświadczonej i ofiarnych pracowników Wydziału. Zespół zrozumiał szybko, że chodzi o ratowanie dzieci, jednocześnie miał świadomość, że nadarza się okazja przebadania istoty żebractwa dzieci w Warszawie.

W styczniu 1942 r. została już konkretnie przeprowadzona akcja t. zw. „Tygodnia przeciwżebractwu dzieci”.

W przeciągu dwóch dni, 19 i 20 stycznia, zatrzymano i dostarczono na punkt zborny kilkadziesiąt dzieci żebrzących. Ażeby „zatrzymywanie” miało jak najmniej charakter obławy, akcję przeprowadzały opiekunki społeczne tylko w asyście policji. Zatrzymanych zostało: dzieci chrześcijańskich żebrzących 47, dzieci żydowskich żebrzących 49.

Dzieci chrześcijańskie zostały umieszczone na czas badań w Miejskim Zakładzie Rozdzielczym, dzieci żydowskie oddawano do Zakładu dla dzieci przy ul. Zegarmistrzowskiej 16, dr. Korczaka, w ówczesnej dzielnicy żydowskiej. Na interwencję Dyrektora Starczewskiego władze niemieckie nie zastosowały w stosunku do tych dzieci żadnych sankcyj karnych za „opuszczanie” ghetta.

Dowożone karetkami sanitarnymi dzieci, były na punkcie zbornym natychmiast myte, przebierane i karmione.

Dzieci ubrane były b. nędznie, prawie w łachmanach, pomimo dużego, bo dochodzącego w tych dniach do 17 st. mrozu, wiele dzieci nie miało palc. Na jedzenie rzucały się łapczywie, przed wyjściem z domu przeważnie żadne z nich nie miało nic w ustach.

Wiek dzieci ujętych przedstawiał się następująco:

5-letnich	1 dziecko
6	3 dzieci
7	2
8	1
9	10
10	6
11	9
12	5
13	4
14	2
15	4

Razem 47 dzieci

Wśród dzieci znajdowało się 8 rodzeństw, 6 liczących po 2 dzieci, jedno po 3, jedno po 4. W ten sposób uzyskało się wgląd w życie 36 rodzin.

Kodziny dzieci były to przeważnie rozbite, pozbawione głównego żywiciela. Ojciec rodziny przebywał:

W Niemczech na robotach — w 6 wypadkach,

w Oświęcimiu — w 2 wypadkach,

zginął na wojnie — w 2 wypadkach,

nie żył — w 7 wypadkach,

porzucił rodzinę — w 2 wypadkach,

żył, ale niezdolny do pracy — w 3 wypadkach,

żył, zdolny, ale nie ma pracy — w 13 wypadkach.

Razem rodzin 36.

Rodziny są obciążone dużą ilością dzieci, mamy do czynienia z:

14 rodzinami liczącymi od 1 do 3-ga dzieci,

21 rodzinami liczącymi od 4 do 6-ga dzieci,

1 rodziną liczącą 7 dzieci.

Razem 36 rodzin.

Odżywianie rodzin niedostateczne.

Czarna kawa i suchy chleb rano, zupa, przeważnie otrzymywana z ówczesnego Komitetu Opiekunczego na obiad i kolację. Piłszce, nabiał, mięsa są artykułami nieznanymi. Stąd zaobserwowano duże braki w wadze i wyglądzie dzieci.

Tylko troje dzieci ważyło zgodnie z normą wieku, reszta miała średnią niedowagę około 9 kg. Budowa dzieci przeważnie wąta, drobna.

A przecież dzieci te, o tak nędznym wyglądzie, były dziećmi w rodzinach najzrówniejszymi; ich rodzeństwo właśnie ze względu na jeszcze gorszy stan zdrowia nie mogło znieść ciężkich warunków żebrania. Zdrowie tych „najsilniejszych” dzieci było poważnie zagrożone. Jedno miało gruźlicę kości, na 47 w 39 wypadkach próba Pirqueta dała wynik dodatni; poza tym świerz, grzybiec skóry głowy, próchnicę zębów spotykało się u prawie wszystkich dzieci.

Mimo tak słabego zdrowia, dzieci wychodziły codziennie na żebranie i spędzały na ulicy całe dni, nieraz do późnego wieczora. Dzieci były głównymi żywicielami rodzin. Przywiązane do nich gorąco miały pełną świadomość tego, że ich zarobki, uzyskane żebraniem, stanowią podstawę bytu rodziny. Główną troską dzieci po zatrzymaniu, doprowadzającą je niejednokrotnie do placu i rozpacz, był straszliwy niepokój, „że oni tam w domu nie będą mieli co jeść”.

Były to więc najaktywniejsze jednostki w rodzinie, podejmujące dobrowolnie trud utrzymania rodzeństwa. Żebranie nie była zajęciem zbyt intratnym: największa suma pieniędzy znaleziona przy dziecku, wynosiła 53 zł. 70 gr. i to było tylko w jednym wypadku.

Więź rodzinna między dziećmi bardzo silna, zatrzymane rodzeństwa były wzorem miłości braterskiej, starsze dzieci opiekowały się młodszymi z ogromną troskliwością.

Zanedbanie pośród dzieci pod względem nauki było zupełne. Żadne z dzieci żebrzących do szkoły aktualnie nie uczęszczało. 5 wogóle nigdy w szkole nie było. Badania ilorazu inteligencji, przeprowadzone przez zespół prof. Bąleja (na podstawie t. zw. Binet-Termana), wykazały:

Iloraz inteligencji ponad 110 — 1 dziecko

ko t. zw. inteligencja wybitna.

Iloraz inteligencji 110—90 — 4 dzieci,

inteligencja normalna,

Iloraz inteligencji 90—80 — 10 dzieci,

ocieślałość,

Iloraz inteligencji 80—70 — 10 dzieci,

pogr. upośl. umysł.,

Iloraz inteligencji 70—60 — 13 dzieci,

upośledz. umysł.,

Iloraz inteligencji 60—50 — 5 dzieci,

debilizm.

Razem 45 dzieci.

Niewysoki poziom ilorazów tłumaczy się zanedbanie szkolnym: gdyby dzieci chodziły normalnie do szkoły iloraz byłby niewątpliwie wyższy.

Akcja przebadania dzieci została zakończona w dniu 24 stycznia 1942 r.

Z 47 dzieci 36 zostało oddane zgłaszającym się rodzicom, jedno umieszczono w szpitalu, 10 umieszczono w Pogotowiu opiekuńczym dla dzieci.

Zakończenie „Tygodnia przeciwwęzbraczego dzieci” dało rezultat podwójny: Sprawozdanie, odpowiednio zmontowane dla władz niemieckich i wyciągnięcie niemiernie ciekawych wniosków dla Wydziału Opieki Sp.

Sprawozdanie, przedstawione dyr. Bethke, wywołało jego „zupełne zadowolenie” i oświadczenie, że na tej podstawie rozpocząć mogą się rozmowy pomiędzy Wydziałem Op. Sp. a niemieckimi władzami bezpieczeństwa. O to tylko chodziło. Zanim bowiem do rozmów tych doszło, nadeszła wiosna, dzieci w dużej części wywędrawały na wieś, a potem sprawa... poszła jakoś w niepamięć.

Jeśli zaś chodzi o uzyskane wyniki naukowe, to wykazały one, że wojenne dzieci żebrzące, to element wcale nie bezwartościowy, na który w polityce opiekuńczej baczną należy zwrócić uwagę i spieszyć mu z pomocą wszelkimi możliwymi środkami. **Jadwiga Piotrowska.**

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych czytelników na wszelkie zagadnienia życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwę miejscowości. Wy-50 wierszy druku.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Nie wiem, czy dla przyjemności „Szpilek” i „Przekroju” drukuje „Dziś i Jutro” — głosy o „sprawie kobiety”. (W nrze 4-tym (2.137). Wydaje mi się, że w każdym razie poziom tygodnika W. Pa-nów nie podnosi ogłaszanie tego typu listów — jakkolwiek Redakcja nie bierze za nie odpowiedzialności. Ma jednakże możliwość wyboru. I za to niewątpliwie ponosi odpowiedzialność. Ogłoszenie listu, podpisanego „Dr. Połubińska” robi specjalnie przykre wrażenie, narzuca się bowiem przypuszczenie, że pisał go ktoś o tak, delikatnie mówiąc, zmaconym i „inconkrentnym” umyśle, że podawanie takich „myśli” czytelnikom wydaje się jakby specjalną złośliwością. Niezbyt chrześcijańskie, czy katolickie, jest ujawnianie tak ośmieszających elukubracji tej osoby. Przepowiednie o losie Warszawy byłyby a miejscu chyba — w maglu.

Przeczytawszy je — potraktowałam rzecz humorystycznie, ale potem zrobiło mi się żal osoby, która to napisała — o ile to autentyk. Wszystko możliwe — są różne nieszczęścia, także umysłowe — ale po co to ogłaszać w „ankiecie”?

Nie należy zapewne Redakcji na tym, by ujawniać takim poziom myślenia kobiet, powołujących się na kulturę katolicką i nawet bojujących o jej panowanie... Jikżi to stwarza obraz obozu katolickiego, w Polsce?

Nie należę do tego „obozu”, ale mam duży szacunek dla wszelkich wysiłków myślowych i ideowych, nawet najbardziej popularnych — i zdaje mi się, że zadaniem szanującego się pisma jest bodaj dbać o poziom wypowiedzi i własnych zwolenników.

Jadwiga Krawczyńska

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

W Nr 4 (61) tyg. „Dziś i Jutro” pod rubryką „Tydzień kulturalny” zamieszczono wzmiankę, że św. Teresa z Avili jest doktorem kościoła. Kościół docenia wielką wartość dzieł św. Terezy, ale tytułu doktora jej nie nadał.

Proszę wybaczyć mi śmiałość, że zabrawiem głos w tej sprawie, zresztą tak mało znaczącej. Jestem stałym czytelnikiem „Dziś i Jutro”, jego sympatykiem i nie chciałbym, aby nasi przeciwnicy zarzucali katolickiemu tygodnikowi ignorancję w sprawach katolickich.

O. B. K.

Lubartów, 28.I.47 r.

Do Redakcji „Kuznicy”

W związku z listem otwartym z zamieszczonym w nr. 4 „Kuznicy”, z dn. 28.I stwierdzam:

Stanisław Wasylewski, pseudonim „Flis” był w drugim półroczu 1942 roku członkiem oddziałów wojskowych Konfederacji Narodu we Lwowie. Wojskowy oddział lwowski Konfederacji Narodu w pierwszej połowie 1943 roku włączył się do siatki terenowej A. K.

O szczegółowych zadaniach p. Flisza nie posiadam żadnych danych. Jednocześnie muszę wyrazić zdziwienie, że poważne zapytanie uzupełnia Redakcja „Kuznicy” drugim pytaniem o charakterze demagogicznym. Pozostawiam je bez odpowiedzi.

Bolesław Piasecki.

Z TEATRÓW

„Krakowiaczy i Górale” w Państwowym Teatrze Polskim.—Różne serca niedokwaszy z powodu wybranych i Jubileuszu Aleksandra Zelwerowicza., w Łodzi.

W przelotnym pobycie Państwowego Teatru Wojska Polskiego z Łodzi na scenie Państwowego Teatru Polskiego w Warszawie widzę dwie ujemne strony: jedną, że na tej pechowej scenie porażony teatr tylko gości i drugą, że przedstawienia dano dla wybranych, dla zaproszonych, bez prasy. Nie zatroszczone się — demokratycznie — o wszystkich, którzy się do teatru garną za własną, ciężką krawawicę. Choćby się i zgodzić, że wstępny o przeznaczeniu tak wyłącznym mogły być istotnie potrzebne ze względów propagandowych w gorącą wileń wyborów, fakt jednak pozostaje faktem: warszawiakom, tym tłumom nieuprzywilejowanych, wyrządzono krzywdę. Wniosek stąd słuszny, że należałoby się raz jeszcze postarać o przyjazd teatru p. Schillerza z „Krakowiakami i Góralami” i, nie

ogładając się zbytnia na trudności i nawet koszty ponownej wycieczki artystycznej (zresztą koszty wróca się z nawiązką), zadośćuczynić Miastu, które, czy komu podoba, czy nie, odsłoniło w „spiewogrze” Bogusławskiego swą duszę, swe narodowe namietności, swoje rozumienie i ukołochanie każdej wielkiej Sprawy. Inscenizował „Krakowiaków” sam p. Schiller; wysoki gatunek widowiska tym bardziej przemawia za naszym wnioskiem.

A przy okazji muszę pogrymasić — za warszawiaków — na „Pana Damazego”, którego gra łódzki Teatr Powszechny TURU na 50-lecie wspaniałej pracy aktorskiej p. Aleksandra Zelwerowicza. Wprawdzie p. Zelwerowicz jest w Łodzi, poza tym z Łodzią Go wiązały bogate wspomnienia i starą, niezardzewiały sentyment, ale... Ale jeśli p. Zelwerowicz nie ma „równowadnego” sentymentu do Warszawy, Warszawa ma z pewnością sentyment do p. Zelwerowicza i nigdy nie zapomni, ile Mu zawdzięcza, ile włożył wysiłków i z jakim walczył zaparciem o podniesienie poziomu i usensownienie

Życie gospodarcze

Z BIEŻĄCYCH ZAGADNIEN

Jednym z pierwszych zadań nowego parlamentu będzie powzięcie ważkich decyzji na odcinku gospodarczym. Rząd przygotowuje się do przedłożenia parlamentowi szeregu aktów gospodarczych, wśród których jako najważniejsze należy wymienić następujące: 1) budżet, 2) plan inwestycyjny, 3) państwowy plan finansowy.

Budżet na 1947 r. analogicznie do budżetu bieżącego będzie obejmował prawie wyłącznie wydatki konsumpcyjne Państwa. Plan inwestycyjny obejmie przede wszystkim inwestycje, które spowodują wzrost produkcji, a poza tym inwestycje o charakterze konsumpcyjnym, jak budownictwo mieszkaniowe itp. Syntezą wszystkich planów będzie państwowy plan finansowy. Plan ten będzie musiał obejmować wszystkie plany wydatkowe, a więc budżet, plan inwestycyjny, plan produkcji i dystrybucji, Fundusz Apropowizacyjny itd. oraz zestawie wszystkie środki pokrycia, przydzielając je równocześnie na poszczególne plany. W ten sposób dopiero plan finansowy określi zarówno rozmiary konsumpcji (budżet, Fundusz Apropowizacyjny), jak i inwestycji (plan inwestycyjny).

Istotnymi źródłami pokrycia mogą być następujące źródła:

- 1) dochód społeczny,
- 2) pomoc zagraniczna,
- 3) masa majątku narodowego (prywatnego i publicznego).

Według obliczeń, zawartych w przedłożonym Krajowej Radzie Narodowej planie odbudowy, wzrost dochodu społecznego w 1947 roku ma wynieść 40% w stosunku do dochodu osiągniętego w ub. r., co będzie stanowić najpoważniejsze źródło pokrycia.

Możliwości pomocy zagranicznej zostały omówione już w poprzednim tygodniu. Potencjalnie pomoc zagraniczna stanowi poważną pozycję w naszych planach gospodarczych, a jej faktyczna realizacja będzie warunkować rozmiary tych planów. Naszym zdaniem przede wszystkim pomoc w środkach żywności będzie decydującym elementem dla dynamiki życia gospodarczego i dla utrzymania obecnej stopy życiowej świata pracy.

Potencjalnie olbrzymim źródłem środków pokrycia jest masa majątkowa Państwa. Przede wszystkim mienie ponieemieckie zarówno na ziemiach odzyskanych, jak i dawnych, zarówno ruchome, jak i nieruchome przedstawia wartość setek miliardów złotych. Szybkie upłynięcie tej masy będzie jednakże napotykało na trudności zarówno techniczne (organizacja sprzedaży), jak i finansowe (siła płaćnicza nabywców). Tym niemniej sądzimy, że przy dostatecznie komercyjnym podejściu mogą z tego tytułu wpłynąć w bieżącym roku poważne sumy, które powinny być przeznaczone przede wszystkim na plan inwestycyjny.

Nie należałoby również pominąć sektora prywatnego, jako źródła zasilaającego Narodowy Plan Odbudowy. Oczywiście w pierwszym rzędzie świadczenia tego sektora będą dokonywane w formie bezpośrednich i pośrednich podatków w stosunku do uzyskiwanych dochodów i do obrotów. Wskazany jednak byłoby sięgnąć również do substancji majątkowej elementów, szczególnie korzystających z koniunktury powojennej, których dochody są niewspółmiernie wysokie do dochodów szerokiej masy.

Poza wyżej wymienionymi planami przedmiotem prac parlamentu będą przede wszystkim również projekty tych ustaw, które są konieczne dla utrwalenia dokonanej przebudowy ustroju, jak również dla wprowadzenia systemu gospodarki planowej.

Najbardziej istotnym zagadnieniem, dotyczącym wszystkich planów, będzie ustalenie podziału dochodu społecznego i wogóle wszystkich środków, będących do dyspozycji na część konsumowaną i inwestowaną. Przy całym zrozumieniu znaczenia inwestycji, uważamy, że planowana akcja inwestycyjna w żadnym razie nie może spowodować obniżenia obecnej stopy życiowej szerokich mas. W przeciwnym bowiem razie inwestowalibyśmy kosztem substancji nie materialnej, lecz ludzkiej. A na to pozwolić sobie nie możemy.

działalność Teatru Polskiego, którym, niestety, kierował p. Szyfman, ilu głębokimi, wstrząsającymi przeżyciami wszedł do warszawskiej legendy teatralnej! — proszę darować odrobnię frywalności — ile nosów na kwintę podniosła do góry i ubuńczuczniła Jego niesamowita, wprost żywiołowa wesołość. Tutaj, w Warszawie, spędził najpiękniejsze, bo dojrzałe lata, tu kipiał Jego rozrosty, zapalczawy talent, tu stawały się ciałem zamazyście koncepcje inscenizacyjne, realizowały się z pożytkiem przedsięwzięcia wychowawcze, zarysowane szeroko i nieustrudzenie prowadzone ręką zawsze niezawodną. Niechże się pogłowią czynniki nadrzędne, jak teraz ściągnąć Zelwera — Jubilata z „Damazym” do Warszawy, żeby się wyplącał Drogiemu Zdradcy z dżugu i — było, nie było — z sentymentu.

„Krakowiaków i Górali” widziałem w Warszawie i parę dni później przygodnie w Łodzi, dokąd mnie poniosło na „Pana Damazego”.

Schiller — inscenizator, to indywidualność niezwykła, trochę niespokojna, o wysokim łocie wyobraźni, która tworzy na tle syntez o potężnym oddechu, wsparła rzetelną wiedzę i podbudowaną kulturą. Gdy inteligentni rutyniści i wydubywacze drobnych efektów zaczynają się dopiero podczas dalszych prób na scenie orientować — często orientować słabo — w ogólnym wyrazie, który da robotę ich nad tekstem, z aktorami i niekiedy z

dekoratorem, p. Schiller zdaje się przystępować do prób z wizją całości już gotową i niechybną, wie, jak równowagę i tonować efekty, żeby widowisko osiągnęło styl jednolity i wyraz z góry zamierzony, żeby wywarło — mocne wrażenie „Krakowiaków i Górali” Bogusławskiego i kontynuację „Krakowiaków”, przyzwyczajenie napisaną przez Jana Nepomucena Kamińskiego, widziałem dawniej kilkakrotnie. Zachowuję trwałe w pamięci zalety inscenizacji, której dokonał Zygmunt Nowakowski na otwarciu Teatru Aktora w Warszawie. Lecz co za różnica — Nowakowski i Schiller! Nowakowski wyszedł z koncepcji dość prostej i łatwej, kukiełkowej. Rozchwiała się ona zaraz w pierwszych scenach, bo życie, tkwiące w tekście, rozsądziło kukły, sklejone zaś z bojecznie kolprowych skorupki postaci sceniczne — według wyswiechtanego powiedzenia — nie zatapały go aż tyle, ile wymagają postaci. Ostał się miły, owszem, banał przy kłopotliwym poczuciu dysproporcji między koncepcją i urzeczywistnieniem. Schiller naodwrot. Bystrym okiem przejrzał od razu i do najskrytszej treści wierzytą żywotność „Krakowiaków” i pokazał ich w rozleglejszym pejzażu dziejowym, obyczajowym, społecznym i artystycznym, doskonałym jako dzieło sztuki. Przybliżył nam równocześnie i wytłumaczył Wojciecha Bogusławskiego, wysunąwszy go na główną postać widowiska, mimo że poza-sceniczną obec-

ność jedynie w dwugłosie aktorów Jego Królewskiej Mości Stanisława Augusta, dwugłosie przed kurtyną, świetnie przykomponowanym. I rzecz dziwna: dwugłos niby bezpretensjonalny pouczający podkreśla tę jakąś wielkość, którą Schiller obudził w „Krakowiakach”.

Patriotyzm? Ponieważ spodziewam się, że Warszawa zobaczy niedługo „Krakowiaków i Górali” ponownie na przedstawieniach, udostępnionych przeciętnym śmiertelnikom, odkładam do sposobności wszelkie uwagi o grze zespołu, aczkolwiek korci mnie napisać o wybornym Miechodmuchu — p. Łapińskim, niemniej wybornej Basii — p. Sojeckiej i ujmująco charakterystycznej Dorocie — p. Godlewskiej. O „Damazym” i p. Zelwerowiczu też nie piszę, aczkolwiek mógłbym przemycić przy nim coś rewelacyjnego, p. Barbarę Fijewską, najwybitniejszy dziś młody talent aktorski w Łodzi i bodaj w Polsce, zamknięty „w formy filigranie”. Na p. Zelwerowicza czekamy w Warszawie. Również i cierpliwie. Byłe przyjechał, przyrzekamy solennie, że ani stęknemy na dekoracje, w które p. Axer ubrał — oj, ładnie ubrał! — „Pana Damazego”. W taki dworek, który ma być strasznie polski i szlachecki i ziemiański, a łódzcy warszawiaczy z „Mokki” i warszawscy łodzianie z „Klubu Pickwicka” pokpiwają, że wygląda na Alhambrę po berdyczowsku.

Janusz, Kawski

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze. W 4 (113) numerze „Odrodzenia” w dziale „Korespondencja” ukazał się List Jerzego Pytlakowskiego p. t. „Odpowiedź Tadeuszowi Brezie”. Ponieważ brałem udział w powstaniu na Mokotowie i w sprawie książki Pytlakowskiego — „Powstanie mokotowskie” zabrałem już głos na łamach dwutygodnika „Warszawa”, pozwolę sobie podać do ogólnej wiadomości parę sprostowań. Ograniczę się tutaj tylko do sprostowania kilku zasadniczych błędów rzeczowych J. Pytlakowskiego i T. Brezy.

Tadeusz Breza w 44 (101) numerze „Odrodzenia” pisze: „Reportaż Jerzego Pytlakowskiego p. t. „Powstanie mokotowskie”... posuwa naszą wiedzę o powstaniu, daje nowe informacje i obserwacje materjały...”

Pytlakowski informuje: „szkoła SS przy ulicy Woronicza była głównym terenem oporu niemieckiego w tej dzielnicy”. W rzeczywistości szkołę tę opuścili uciekający Niemcy już w drugim dniu powstania (nie w pierwszym — jak błędnie podał w recenzji „Warszawa” rok I, Nr 7.

W książeczce swojej wielokrotnie wspomina Pytlakowski o wychodzącym na Mokotowie „Biuletynie Informacyjnym”. Otóż „Biuletynie Informacyjny” nie tylko na Mokotowie nie wychodził, ale wcale do tej dzielnicy ze Śródmieścia nie docierał. Jedynie parę egzemplarzy było w posiadaniu BIP-u.

Twierdzenia Tadeusza Brezy, że Pytlakowski „mówi również dużo i ściśle o nastrojach i obyczajach”, panujących na Mokotowie — pozostawiam bez zaprzeczenia, odsyłając tylko zainteresowanych do mojej recenzji z „Powstania mokotowskiego”. Tadeusz Breza stwierdza, że książka Pytlakowskiego kończy się „na dniu 25 września, na dniu kapitulacji Mokotowa”.

Nieprawda. Wojska powstańcze na Mokotowie skapitulowały dn. 27 września około godziny 10-ej rano. Jerzy Pytlakowski, jak sam pisze, znajdował się na Mokotowie do dn. 26 września, kiedy to odszedł kanałem do Śródmieścia.

Wbrew twierdzeniu Tadeusza Brezy, o statnich chwil Mokotowa i samej kapitulacji nie przeżył i nie opisał. Na to, aby pisać recenzję o takiej książce, jak „Powstanie Mokotowskie”, nie trzeba być pisarzem tej miary, co T. Breza, ale trzeba znać z autopsji opisywane przez Pytlakowskiego dni. Tylko wtedy można uczciwie coś książce zarzucić, czy pochwalić bowiem najważniejszym kryterium wartości tego reportażu jest autentyczność i zgodność z prawdą.

Tej zgodności u Pytlakowskiego, składają zdolności pisarza, nie widać. Widać natomiast od początku do końca tendencyjność, która wypacza i fałszuje obraz powstania. Każda tendencyjność jest szkoda, oddala bowiem w rezultacie od prawdy niezależnie od tego, czy będzie to tendencja bezkrytycznej gloryfikacji i idealizowania, czy też tendencja bezkompromisowej krytyki, nawet kosztem jednostronnego, a więc fałszywego nasświetlenia faktów. Jerzy Pytlakowski twierdzi, że wstęp do jego książki, który nie ukazał się w wydaniu książkowym „Powstania mokotowskiego” z przyczyn od autora niezależnych, wytłumaczyłby „wszystkie kwestie niejasne dla Brezy, a zapewne także dla innych krytyków i czytelników”.

Niesięty, ów niedoszły wstęp wyjaśniłby czytelnikowi zasugerowanemu wiele obiecującym tytułem tylko tyle, że ambicją autora „było pokazanie autentycznego odcinka mokotowskiego powstania nie od strony chłopięcego bohaterstwa”. Wątpliwe wyjaśnienie. Tendencyjność reportażu nie uległaby przez to zmianie. Nawet Józef Sieradzki stwierdził, że „ogólny obraz naszkicowany przez Pytlakowskiego jest jednostronny...” („Odrodzenie” Nr 43 (100)).

Do reportażu Pytlakowskiego nie podchodzić jak do dzieła literackiego, ale wyłącznie jako do dokumentu. I stwierdzam, że dokument jest „lipny”.

To nie solidarność członka dowództwa odcinka mokotowskiego przemawia przez mnie, ale prosta uczciwość. Na Mokotowie byłem tylko prostym żołnierzem. Bez udziału propagandy byłych dowódców Mokotowa utarło się wśród nas, żołnierzy powstania mokotowskiego, zupełnie samorzutnie przeważnie na książkę Pytlakowskiego: „powstanie pytlakowskie”.

Czy książka „Powstanie mokotowskie” jest tak ważna, że się o niej tyle pisze? Pod pewnym względem — tak. W tym mianowicie sensie, że jest wielce szkodliwym fałszyfikatem. I dlatego rzeczowo, operując prawdziwymi argumentami, trzeba przed nią ostrzegać.

Jerz, F'cowski

U grobu Krzywoustego

Poeta, dla którego była „piękna nasza Polska cała”, uważał, że jednak „najmilsze i najzdrowsze... jest Mazowsze”. Czy każdy Polak na to się zgadza — wątpię. Bo jednak najpiękniejsze to Mazowsze nie jest.

Są jednak i na Mazowszu uroczyste kątki. Jak oazy na pustyni. Do nich należy niewątpliwie Płock. Stary piastowski gród nad Wisłą, stolica książąt dzielnicowych, którzy tu przetrwali dłużej niż w innych częściach Polski i stolica biskupów płockich co najmniej od XI wieku.

Wśród historycznych zabytków Płocka jeden przynajmniej ma wielkie znaczenie ogólnonarodowe. A pamięć o nim dziś szczególnie zasługuje na uwagę. Właśnie ze względu na powrót nad Odrę, na stare piastowskie rubieże.

Mam na myśli grób Bolesława Krzywoustego, znajdujący się w kaplicy królewskiej katedry płockiej razem z grobem Władysława Hermana. Postać Krzywoustego po wiekach różnych kolei naszych dziejów zda się nam dziś wyjątkowo bliska. Nie tylko ze względu na Śląsk, gdzie „Krzywousty narobił z Niemców kapusty”, ale i ze względu na Pomorze, które z taką energią zyskiwał dla Polski.

Mówiąc o prochach Krzywoustego, trudno nie wspomnieć o dostojnej katedrze płockiej. Prastara świątynia — matka wszystkich kościołów Mazowsza, pamięta początki chrześcijaństwa u nas. Ma swoją historię. Wielokrotnie burzona i odbudowywana swą monumentalną obecną postać otrzymała na początku bieżącego stulecia.

Niemcy uważali, że polskie kościoły z ich grobowcami, tablicami, malaturą są pomnikami narodowymi. Szuszenie. Czyż dziś w prastarych kościołach piastowskich na Śląsku i Pomorzu nie odnajdujemy najsiłniejszych dowodów naszego panowania na tych ziemiach?

Więc niszczyć co polskie, niszczyli i kościoły z ich historycznymi zabytkami. Katedra płocka z grobem Krzywoustego nie była wyjątkiem. Już 5 września 1939 r. padły na nią pierwsze niemieckie bomby. Z wojskowego punktu widzenia niepotrzebnie. Był w tym jednak cel. Pokazały to lata okupacji.

Nie pozwolono naprawić zniszczeń z września 1939 r. Co więcej — okupant zarządził zdjęcie miedzianego dachu z całej prawie katedry, nie dając innego pokrycia. Więc niszczało sklepienie, odpadły malowidła, kruszały mury. Urządzenie wnętrza, jak ławki i t. p., zniszczono kompletnie. Ograbiono zabytkowy skarbiec. Katedrę zamieniono na magazyn. Polakom był do niej wstęp wzbroniony. Biskup płocki zginął w obozie niemieckim.

A co z grobem Krzywoustego? Grób rozbito Berło królewskie, koronę i miecz

zrabowano. Jednak samo miejsce wiecznego spoczynku wielkiego władcy dość szczęśliwie ocalało. Ta część katedry, gdzie znajduje się kaplica królewska, jest najmniej zniszczona.

A gdy południowo-wschodnio pruski „niemiecki” Schröttersbug znowu stał się starym polskim Płockiem w styczniu 1946 r., władze kościelne natychmiast przystąpiły do odbudowy zrujnowanej katedry. Pokryto całość dachem, naprawiono uszkodzone mury, dano częściowo nowe sklepienia i połatano dziury. Zrobiono już dużo, choć pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Koszt odbudowy pokrywa się głównie z ofiarności wiernych i duchowień-

Szeroki horyzont

A co będzie dalej?

Jeden z brytyjskich tygodników zamieścił żartobliwą przepowiednię, mającą dotyczyć losów Anglii w ciągu najbliższych kilku lat.

Trzeba przyznać, że przepowiednia ta, jakkolwiek jest żartem, to jednak oddaje — z punktu widzenia satyryka — pewne nastroje, panujące w Anglii. A oto kilka fragmentów z tej wróby:

ROK 1947

Wszystko, co chcesz, będzie eksportowane, a to, czego nie chcesz, jak naprzykład jajka w proszku, będzie importowane.

Niektóre kraje, jak naprzykład Holandia, które przed 18 miesiącami były na granicy śmierci głodowej, będą chciały sprzedawać nam żywność. Rokowania jednak przeciwną się tak długo, że wszystkim się zaprzepęści.

Kraje, jak Francja, które mają być na granicy śmierci głodowej od 6 lat, będą nadal przysyłać nam swych sportowców, zwyciężających nas w zawodach tenisowych, meczach bokserskich i wszystkich innych rozgrywkach, jakie się tylko przytrafia.

ROK 1948

Rok ten rozpocznie się zmniejszeniem racji sera, następstw zerwania rokowań o zakup 50.000.000 serów holenderskich. Zostanie to osiągnięte przez długowłosych, młodych ludzi z Ministerstwa Aproprowiacji, którzy byli tak niestęchanie biegli w ekonomii w Oxfordzie, ale nie będą tak niestęchanie biegli w rozmowach z holenderskimi farmerami.

Następnie zostaną też zmniejszone również i przydziały bekonu, ponieważ farmerzy dunsy i irlandzcy znużą się bezsensownym gadaniem z długowłosymi, młodymi ludźmi i rozpoczną sprzedaż swych produktów Rosjanom, którzy, jak zwykle, przynajmniej wiedzą, czego chcą.

W owym czasie Niemcy będą otrzymywać dwa razy lepsze jedzenie niż Brytyjczycy i znowu staną się tacy arogancy. Dzięki przymoru z Francją, znajdziemy się na granicy wojny, ponieważ jakiś Albańczyk uderzy Francuza w kawiarni.

ROK 1949

Rok ten rozpocznie się znowu pod znakiem wojny, ponieważ jakiś Francuz ucieknie z żoną pewnego Włocha.

Niemcy będą w tym czasie już tyle jeździć, że będą wszyscy mieli dość siły, aby

stawa diecezji płockiej, a częściowo tylko z zasiłków państwowych.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia ks. bp. Tadeusz Paweł Zakrzewski, 82-gi z kolei biskup na stolicy płockiej, odprawił pierwszą po wojnie Mszę św. i wygłosił podniosłe, płomiennie kazanie.

Prace nad remontem katedry płockiej trwają. Miejmy nadzieję, że Bolesławowi Krzywoustemu już nikt nigdy nie naruszy dobrze zasłużonego, wiecznego spokoju, a jego grób nie będzie miejscem zapomnianym, lecz jedną z najmiłszych narodowi polskiemu pamiątek

Edm. Sz.

podnosić prawe ręce do góry i wołać „Heil Hitler”.

Brytyjczycy będą tak niedożywieni, że nie będą mieli dość siły, aby ich poskromić.

Aż do tego czasu nasze małe racje bekonu będą zaspakajane przez import z Kanady. Ale Ministerstwo Aproprowiacji wyśle jednego z tych długowłosych młodych ludzi do Kanady, aby opowiadał baniaki tamtejszym farmerom i na tym się to skonczy.

Zagraniczny sportowiec, najedeni bekonem irlandzkim, dunskim i kanadyjskim, nie mówiąc już o milionach serów holenderskich, osiągną wtedy taką klasę, że mali, głodujący sportowcy brytyjscy, będą musieli wycofać się Igrzysk Olimpijskich.

Argentyna, zdając sobie sprawę, że to jest nie w porządku, wyśle nam mięso w darze, ale stanie się to sygnałem do nowego strajku nieoficjalnego na rynkach mięsnych, tak że koniec końców nic z tego nie dostaniemy.

ROK 1950

Rok ten będzie stał pod znakiem wyborów powszechnych. Poza tym nasze przymierze z Francją wpakuje nas w nowe tarapaty.

Jakis Francuz pokaże Hiszpanowi język przez granicę i my znowu będziemy musieli mobilizować.

Niemcy już będą wtedy tacy spasieni, że będą mówić, iż Hitler dalej żyje.

Prawdopodobnie będą mieli rację. Należy przypuszczać, że to brytyjskie dary żywnościowe pozwolą mu na przeżycie tych lat.

Zostaną utworzone pierwsze kadry nowej niemieckiej armii.

ROK 1951

Dziesięćmilionowa armia niemiecka będzie najlepiej wyżywiona i uzbrojona na świecie.

Hitler ukaże się przebrany jako święty Mikołaj na przyjęciu, wydanym w Hamburgu dla niemieckich dzieci, przez ostatni pułk brytyjski.

Oznajmi wtedy wszystkim, że jego cierpliwie jest znowu wyczerpana.

Następnie jakiś Francuz wytrze nos o jakiegoś Niemca i tak się to wszystko na nowo zacznie.

Wilię roku 1951 Anglicy spędzą w schronach, bez indyków.

Wilk.

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880 71 Konto P. K. O. — Nr 1—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30—13.30.

Pranumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.

Złotono w Zakł. Graf. „Dziwnia” Włocławek 24 B-17965

Oddr. w Drukarni „Czytelnik” Nr 2 Marszałkowska 3A

Wydawca: Kolegium redakcyjne.